

TYGODNIK ILLUSTROWANY



AUGUST RODIN W PRACOWNI
W GŁĘBI POSĄG BALZACA

Rodzime tło sztuki.

Jednostki wielkie i potężne, odrębne zupełnie w pojęciach i kulturze, rodzą się wyjątkowo tylko w społeczeństwie, które w pewnych kierunkach ani tradycji, ani zamiłowania do nich nie miało. W podobny sposób wyjątkowo powstała u nas sztuka. Nie było jej w tradycji u nas, tak samo, jak nie było i niema ogólnego zamiłowania do niej. Były jednostki lubiące sztukę, więcej jej potrzebujące, rodziły się więc kiedy niekiedy i jednostki uprawiające to „rzemiosło.“ Miał magnat dukaty, a grzeszył wiele za życia — to stawiał bogate kościoły i fundował piękne ołtarze, nie zapominając i o pozostawieniu dla potomności pamięci o sobie w postaci również pięknego pomnika.

Stąd to pochodzi, że mamy tak wiele skarbów prawdziwie artystycznych w naszym kraju. Nie zebrały ich jednak ani potrzeba estetyczna, ani zamiłowanie. Dla sztuki nie było u nas nigdy, a nawet niema i teraz — *tła*. Naszym tłem był konik, szabelka i harce tatarskie; naszym tłem były orgie gościnności, które zamieniły się później w orgie obżarstwa; naszym tłem była do ostatnich granic posunięta pocześność względem wszystkiego, co obce i co u nas chciało pracować, albo mówiąc wyraźniej: *zarobić*.

I to wszystko razem powodowało napływ obcych artystów, którzy u nas „zarabiali“, i albo, zarobiwszy, wracali do swego pełnego kultury i tradycji artystycznej kraju, albo rozplywali się w naszym rodzimym społeczeństwie bez względu na wyniesioną ze swego kraju tradycję, aby syn był tem, czem ojciec. Zapominali o tej tradycji poprostu dlatego, ponieważ w nas nie znajdowali dla dalszego prowadzenia swego spadku... *tła* odpowiedniego.

Tło narodu i społeczeństwa jest kanwą, na której pewne wady albo zalety się rozwijają. Wszędzie jednak są wyjątki. I u nas, pomimo braku artystycznego tła narodu, pomimo braku tradycji i kultury artystycznej — wyrosła sztuka. Przedewszystkiem zaś sztuka malarska.

Zabytki architektoniczne, jakie pozostały nam zdawna, nie wpłynęły u nas na wybitny rozwój budownictwa, zabytki rzeźbiarskie nie stworzyły rzeźbiarstwa. Przeciwnie nawet, mamy dowody, że sznycerze nasi, lub mieszkający u nas — po jakimś czasie wracali do miast i krajów, skąd przyszli; dość wspomnieć Wita Stwosza, z którym tak zrosiliśmy się, że za cenę kilku bohaterów nie pozwolimy go sobie odebrać. Nie przeszkadza to jednak wcale naszemu nieuctwu i brakowi pietyzmu dla rzeźby.

Malarstwo zaś wyrosło u nas nie na tle arcyzmu i potrzeby jego, lecz na tle wschodnich różnobarwnych tkanin i dywanów, którymi przepełnione były nasze dwory po każdej wyprawie tatarskiej. A i to malarstwo, czyż dawno ono istnieje? Mówię tu o malarstwie ostatnich lat pięćdziesięciu, w których my, Polacy, malujemy i swoich, polskich, artystów wymienić potrafimy.

Wobec więc braku wszelkiego tła artystycznego, jak można mówić o „naszym pseudoestetyzmie?“

Pseudoestetyzm wyradza się tam, gdzie był właściwy estetyzm, tak, jak wyrodził się pseudoklasycyzm w krajach, posiadających wiekową kulturę i tradycję klasycyzmu. U nas mamy tylko wmawianie w siebie samych owej niby tradycji i kultury, albo jakiegoś wykształcenia estetycznego, gdy tymczasem, prawdę mówiąc, nie znamy sztuki nawet z podręczników szkolnych (czy mamy jakie?), a tem mniej z Baedekera, w którym czytamy zwykle nazwy hoteli i restauracji, gdzie dobrze jeść dają! My zawsze i na każdym polu mamy tylko jednostki i wyjątki.

Mieliśmy więc tylko i mamy je na polu sztuki. Byli ludzie, ale nie zbiorowe partye, którzy rozumieli sztukę i zakładali galerie po większej części dla swego prywatnego i osobistego zadowolenia. Są ludzie, którzy dzisiaj otwierają te galerie i te zbiory dla szerokiego ogółu publiczności naszej.

Ale czy ta szeroka publiczność korzysta z tego? Broń Boże! korzystają znowu tylko jednostki, które bez względu na to, że nie mają dla kogo, piszą o sztuce i pouczają sami siebie.

Rok rocznie wydaje krakowska Akad. Umiejęt. masę dzieł i rozpraw o sztuce i zabytkach artystycznych polskich. Dzieła te bezwarunkowo wiele dobrego zdziałałyby między szeroką publicznością, gdyby się między nią dostawały. Ale z dzieł tych, wydawanych olbrzymim nakładem, korzysta zaledwie kilkadziesiąt osób, i to takich, którzy się specjalnie albo historią, albo estetyką sztuki zajmują. Zdaje mi się, że w zapale przesadziłem. Nie kilkadziesiąt, lecz kilkadziesiąt osób wie o tych dziełach, a kilkanaście je czyta. Winą tu jest znowu brak tła, brak tradycji, brak kultury.

Wszystko to trzeba dopiero stworzyć u nas. A nie stworzy tego „garstka młodych i energicznych malarzów z kilku wytrawnymi estetykami, których posiada“ — Warszawa! Nie stworzy dlatego, ponieważ Warszawa posiada zaledwie kilku takich wytrawnych estetyków, którzyby rozumieli potrzeby nowoczesnej generacji naszej i na tych podstawach nowoczesnych wymagań potrafili stworzyć tło artystyczne dla przyszłej sztuki.

Nie stworzy tego i garstka artystów, która złączyła się w stowarzyszenie ściśle koteryjne i koleżeńskie, pamiętające jedynie o wyniesieniu swoich własnych nazwisk, aby obrazy swego stowarzyszenia drożej i za lepszą cenę sprzedawać, usuwając każdego artystę, nie poddającego się pod despotyzm rządzących tem stowarzyszeniem.

Ogół artystów nie jest powołany do „urządzania szeregu popularnych wykładów z dziedziny sztuki, takich, jakie miewamy obecnie w dziedzinie przyrody...“ „Niewątpliwie liczyliby oni mogli na tłumne audytorium“ i t. d. Nie! Artyści powinni być przez ogół publiczności tak zatrudniani i tak do-

brze powinni wywiązywać się ze swojej pracy, aby publiczność z dzieł ich pożytek estetyczny odnosiła.

Artysta malarz i rzeźbiarz formą przedewszystkiem powinien działać na tłumy, nie słowem i piórem. Jeżeli zaś dziś jest przeciwnie, jeżeli malarz albo rzeźbiarz, nie mogąc formą plastyczną swoich idei przemówić do publiczności, chwyta za pióro i tym sposobem niejako zrozumiałej do otoczenia przemawia, to dowód właśnie owego braku kultury i wykształcenia atawistycznego na *tło* artystycznym narodu, który, nie rozumiejąc formy, żąda żywego słowa, jako tłumacza, czy pośrednika między artystą a sobą.

I dlatego u nas panują najrozmaitsze kierunki i szkoły, niema jednak ani kierunku, ani szkoły własnej. U nas jednostki zamawiają obrazy, rzeźba bowiem nawet dla jednostek nie istnieje, a ogół chce obrazy wygrywać losami po 5 rubli w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Zachęta więc, chcąc jak najwięcej dać swoim członkom, zachęca właściwie artystów do malowania nie obrazów, lecz tak zwanych „kiczków“, które przed zakupem na gwałt się maluje i za bezcen komisji kupującej sprzedaje.

Wiele się jednak zmienia w świecie; wierzymy i w to, że na polu sztuki zmieni się i u nas na lepsze. Wierzymy, że publiczność nasza, oprócz książki Witkiewicza p. t. „Sztuka i krytyka u nas“, będzie czytała i inne książki o sztuce.

Wierzymy, że książka o nowej sztuce u nas znajdzie autora, a także i nakładcę; wierzymy wreszcie i w to, że książkę taką napisze ktoś, kto sztukę bada, sztukę kocha i na niej się rozumie. Wierzymy i w to, że pisma nasze codzienne, które są jedyną strawą publiczności naszej, oprócz przekąsek kawiorowych w postaci francuskich romansów — otworzą w rubryce, znaczonej: „Literatura i sztuka“ — rzeczywiście szpalty swoje dla literatury i sztuki, przynajmniej w tej rozległości, w jakiej oba te oddziały poświęcają dotychczas — teatrowi.

Bo teatr u nas zajął prawdziwie godne stanowisko, poświęcone „sztuce“, teatr u nas usunął na bok wszystką literaturę i wszystką sztukę klasyczną!...

Sztuka polska, w krótkim procesie swego powstania i istnienia, błyskawicą przeleciała wieki historii sztuki innych narodów. Nasza polska sztuka jest najbardziej modernistyczna, bo jest najmłodsza. Chodzi jednak o to, czy sztuka polska, jako sztuka, istnieje rzeczywiście, czy też istnieją tylko *artyści Polacy*?

Otóż dotychczas, zdaniem mojem, byli tylko artyści polscy, uczący się i pracujący w przeróżnych szkołach i kierunkach.

Dopiero w kilkunastu ostatnich latach zaczyna kielkować u nas coś w rodzaju rodzimej sztuki. Zaczyna się *snuć* przed nami, jako mgła zaledwie widoczna, *tło narodowo-artystyczne*. Zaczynamy się *ścieśniać*, szukać i pożądać, jako *my*. Na narodowej tedy podstawie starajmy się zespolić rozrzu-

cone kierunki i siły, poruszające nimi; starajmy się wytworzyć ową syntezę mistyczną teraźniejszości, która rzeczom naszego istnienia nada tę właściwą cechę, jaka pomimo ich chwilowego stworzenia, naznaczy je owym nieomylnym piętnem, po którym potomność rozeczna styl naszej obecnej kultury.

Jest dowiedzionem, że wszystkie rzeczy stworzone, jako produkt pewnego procesu w pewnym okresie czasu, mają jedno i to samo zabarwienie, które zrobiło się właśnie w tym ich czasie, a nie żadnym innym przeszłym. Dlatego też zabarwienie teraźniejszości posiada kolory, jakich przedtem nie posiadało. Siła i skład może tu być tak różny, jak wielorakie jest samo zjawisko. Ale *tło* nie potrafi się ukryć.

Do tego jednak potrzeba nam siły wyzwolenia się z pod wpływów obcych i pogodzenia rozumu z uczuciem. Nie mamy tradycji sztuki, nie mamy dotychczas artystycznego tła, więc to tło stwórzmy tą energią siły i tym temperamentem, jaki istnieje w zasobnej liczbie obecnie żyjących artystów naszych. Przyjdźmy też do przekonania, że owe dumne zdolności analityczne, jakie niby posiadamy, są tylko towarzyszkami zjawisk rozkładu, który sztukę naszą może zabić i zniszczyć w zarodku.

Żadajmy od publiczności, aby żądała od artystów tylko prac, które właściwości naszej rasy posiadają. Artyści zaś niech żądają od publiczności szerokiego poparcia, dawanego nie jako jałmużna jednostkom zbiedzonym, albo protegowanym, lecz poparcia szczerego i serdecznego dla całej sztuki polskiej i jej celów!

Sztuka nasza, aby być rodzimą, nie potrzebuje być zaściankową i tematową tylko; sztuka musi być owiana technieniem duchowem całego świata, ale musi równocześnie posiadać ów zapach plemienia rodzinnego, owo tajemnicze „fluidum”, które niewidzialnie rozpościera się naokoło miejsca i istoty, nadając im niezmasane niczem znamię.

Nie wiadomości estetycznych, lecz zamiłowania potrzebujemy przede wszystkim.

Wprawdzie wyrabia się ono pracą wieków całych, ale wyrobić się może również i przez jednego wieku siłę. Owe jednostki nasze, zajmujące się rzekomą estetyką, albo proponowaniem zakupu włoskich galeryi, czy one zrobiły co dla podniesienia wrażeń, albo dążności estetycznych publiczności naszej? Czy zamiast opisywania galeryi włoskich, albo kupowania podejrzaney wartości „mistrzów”, nie lepiej jest kształcić własnych artystów?

Artysta, zrozumiałwszy sam siebie, zrozumie i siłę tajemniczą, która go do sztuki i do artyzmu popchnęła, zrozumie również naturę i sztukę, które dają partę tą samą siłą. Siła ta pracuje w naturze mimowoli, w sztuce zaś i w dziele najsiłniejszą świadomością człowieka, czyli siłą twórczą, która nie formą ani aparatem technicznym pra-

cuje, lecz wszystkimi siłami i uczuciami duszy potrafi działać na otoczenie bez względu na jego wykształcenie estetyczne.

Stąd też pochodzi to, że przed prawdziwymi dziełami sztuki stoimy jak przed cudem, o którym nie umiemy nic powiedzieć i mówić sobie nie życzymy, pragnąc tylko widzieć i patrzeć na wiele dzieł podobnych. Nad dziełami zaś mniej odczutymi, wykonywanymi nie duszą, lecz pewną rafinowaną spekulacją na wzrok lub umysł widza, toczyliśmy zawsze polemikę i więcej zajmujemy



Książę Adam Sapięha
Prezes związku straży ogniowych ochotniczych w Galicji.

Harasimowicz

się słuchaniem krytyk tego dzieła, niż samem dziełem.

Wychowania szerokiego ogółu w kierunku estetycznym podjąć się tylko mogą wieki całe na podstawach, danych przez cud jednego wieku. Tak było ze sztuką włoską, i tak może być dzisiaj z naszą. Tam stworzono Odrodzenie, które poparli mecenas sztuki. Bez tych mecenasów, ludzi na punkcie sztuki posuniętych nawet do pewnego obłędu, nie mielibyśmy „Renesansu”; bez mecenasów i popierających miłośników trudno będzie i naszej sztuce dojść wyżyn. U nas bowiem objawia się obecnie w sztuce nie „odrodzenie”, lecz jej *urodziny*, musimy więc dobrze chodzić koło tego noworodka, aby go odchowić.

ST. ROMAN LEWANDOWSKI.



Z tygodnia na tydzień.



„Kurtyna” prof. Siemiradzkiego.

W pojęciu swem oderwanem, w rdzeniu swej istoty, sztuka jest jednolitą i ma zadanie odpowiedzieć spoczywającej w głębi każdej myślanej jednostki potrzebie wrażeń artystycznych; w formach jednak zewnętrznych, które przybiera, rozpada się z konieczności na wiele odnóg i rozmaitemi krocząc jest zmuszona drogami.

W zakresie twórczości malarskiej, tak samo jak w dziedzinie innych sztuk nadobnych, spotykamy bogate rozgałęzienie podstawowych czynników malarstwa, t. j. barwy i linii. Mamy więc przede wszystkim trzy charakterystyczne odłamy, zasadniczo różniące się zadaniem, które spełniają: malarstwo czyste, samoistne, bo przemawiające li tylko treścią swą wewnętrzną; malarstwo dekoracyjne, zależne od otoczenia, którego jest częścią składową, i—malarstwo ilustracyjne, odtwarzające plastycznie treść literacką, t. j. taką, do której zrozumienia konieczny jest pisany komentarz.

Każdy rzeczywisty artysta, przystępując do wykonania dzieła sztuki, ma w swym umyśle wyraźnie skrytalizowany cel, który osiągnąć dziełem tem zamierza, zdaje sobie jasno sprawę z warunków, wśród których dzieło jego wyobraźni do ogółu przemawiać będzie, i na tem dopiero tlesnuje wątek swych twórczych pomysłów.

Do liczby takich artystów należy profesor Siemiradzki, a jak właściwie pojmuje podjęte zadanie, jak potrafi rozwinąć wrodzony talent w danym kierunku, dowodzi najnowszym swym utworem, od zeszłej niedzieli wystawionym w salach Towarzystwa Zachęty.

Jest to już druga z rzędu kreacya dekoracyjna prof. Siemiradzkiego: przed kilku laty wymalował kurtynę dla teatru Krakowskiego, która znalazła ogólne uznanie, obecnie mamy osobną wystawę zasłony, przeznaczonej dla teatru Lwowskiego.

Stojąc wobec olbrzymiej tej kompozycji, ani na chwilę nie wahamy się co do jej przeznaczenia; widocznem jest na pierwszy rzut oka, że

mamy przed sobą nie obraz, lecz kurtynę. Na wrażenie to składa się wszystko: i kompozycya akademiczna, zrównoważona, okazująca w estetycznych pozach zgrupowane niewieście postacie, i jaskrawe zestawienie barw, widocznie obrachowane na oświetlenie sztuczne gazu lub elektryczności, które je właściwie dopiero zharmonizuje, i malowane obramowanie, wzorem gobelinowych szlaków, okalające kompozycję. Malowanie matowe, podnosi czystość i siłę kolorystyki, której gamma jest niezwykle rozległą, gdyż zacząwszy od czystej białej farby w „oparach, wychodzących z głębi ziemi”, dochodzi do zupełnej czerności na skrzydłach postaci, mającej uosabiać wyobraźnię.

Kompozycya kurtyny, jak wszystkie alegoryczne pomysły, potrzebuje wyjaśnienia; z jego pomocą dopiero, idea przewodnia przedstawia się jasno i zrozumiale. Niewielka świątynka Apolina, umieszczona na samym środku płótna, rozdziela symetrycznie obraz na dwie równe części. Główną postacią jest tu *Natchnienie*, piękna kobieta, siedząca na pityjskim trójnogu, obok w górę wznoszą

si się *Wyobraźnia*, tworząc niejako pendant do *Minerwy* z szalą w ręku.

Zasadnicza ta grupa, upowita dymem, unoszącym się na pierwszym planie, jest jądrem kompozycji, właściwa zaś charakterystyka teatru w postaciach wyobrażających: *tragedję, komedję, dramat muzyczny, operę komijną i taniec*, są rozmieszczone po obu stronach. W całości kompozycji znajdują jeszcze miejsce: alegoryczna figura historii z księgą w ręku, na której dużymi głóskami wypisane jest: „*Sic fuit, sic est, sic erit semper*”—a także: *Fortuna, Sława i Miłość*. Tło stanowi krajobraz włoski: w ponurym nastroju nadchodzącej burzy ze strony prawej, pogodny ze strony lewej. Grupa ludzi, goniących mary szczęścia ziemskiego, uzupełnia całość obrazu.

Oto w krótkości treść rzeczowa kompozycji, plastycznie wyrażającej cały proces twórczości artystycznej, tak, jak go pojął prof. Siemiradzki. Źródłem twórczości jest *natchnienie*, wspomagane przez *wyobraźnię i rozum*.

Kurtyna Siemiradzkiego będzie mogła być właściwie oceniona i we właściwym znajdzie się światło dopiero na miejscu, t. j. gdy stanie się integralną częścią sali widzów lwowskiego teatru i jej największą ozdobą. Zajęcie, jakie obudziło wystawienie ostatniej tej pracy twórcy „Jawno-grzesznicy“ wśród szerszego ogółu warszawskiej inteligencji, każe się spodziewać, że i we Lwowie pozyska zasłużone uznanie.

Indywidualne cechy swego talentu wlał profesor Siemiradzki przedewszystkiem w układ i wykonanie obrazu. Obok twarzy, nacechowanych właściwym wyrazem, uderzają w „Kurtynie“ doskonałością wykonania, liczne szeroko traktowane draperie, które pięknymi, umiejętnie zarzuconymi fałdami nadają życie i ruch obrazowi. Wszelkie szczegóły, jak: marmury, rzeźby, wyroby ze złota, miedzi, brązu, kości, są mistrzowsko wykonane, krajobraz zaś stoi na poziomie poprzednio przez znakomitego artystę wykonanych pejzażów.

H. P.

P. R. Pomieściliśmy wyżej sprawozdanie naszego recenzenta artystycznego. Reprodukuję znakomitej pracy Siemiradzkiego, razem ze szczegółowym objaśnieniem, damy w jednym z najbliższych numerów „Tygodnika.“

✱

Ważna kwestya.

W ostatnich czasach w łamach prasy zwrócono uwagę na zmniejszającą się liczbę wychowawców seminariów duchownych w Królestwie Polskim, a tem samem grożący w niedalekiej przyszłości brak księży. Jako przyczynę tego zjawiska podają przedłużenie terminu studiów w seminariach.

Bez wątpienia, jest to poważna przyczyna, istnieje jednak wiele innych powodów, wpływających na szczuplejszy zastęp kandydatów do stanu duchownego.

Biorąc pod uwagę stronę materialną, stan duchowny zapewnia zawsze byt spokojny i kęs chleba dostatni.

Przeciwności, jakie nastreca życie powszednie, są wszystkim zawodom wspólne, i łatwiej stawiać im czoło może człowiek pojedynczy, aniżeli obciążony brzemieniem obowiązków rodzinnych.

Inna rzecz, kiedy idzie o stronę moralną, o powołanie do stanu duchownego. Słusznie zauważono, że takich czynników psychicznych szukać należy w naturze współczesnego wychowania młodzieży.

Wygórowana dążność do rozwijania umysłu, pomijająca stronę fizyczną i moralną wychowawców, spowodowała, że kształcenia charakteru i uprawy zasad moralnych zaniedbano.

Tem większa przeto i tem gorliwsza winna być rozwinięta działalność, aby te ujemne strony wychowania polepszyć, braki wypełnić i dać społeczeństwu ową harmonię duchowych i moralnych

sił, i zdrowie fizyczne, tak konieczne do ciężkiej walki o byt i przyszłość.

Boć potrzeba jasno oceniać warunki chwili, która zawsze stawia przed oczy Hamletowskie „być albo nie być.“ Trzeba zapytać się własnych sumień i serc własnych: czy na ich dnie spoczywa miłość kraju, czy pragnienie filisterskiej wegetacji i pustka?

Jeśli idea jakaś jest, jako idea, coś warta, jeśli puczucie obowiązku służby społecznej ma jakąś zasadę i rację bytu, to potrzeba tym wymaganiom ludzkiej duszy czynić zadosyć. Powołanie kapłana i nauczyciela wymaga czegoś więcej niż fachowego uzdolnienia. Nie mówmy o poświęceniu: wyraz ten sponiewierano i zużyto w czasach hakatyizmu i geszeftu. Obywatelską zasługą zowią drukowanie perkalików i transport wieprzy i gęsi za granicę.

Nie mówmy o poświęceniu—to stary termin; ale mówmy o praktycznym pojmowaniu własnego interesu i całości skóry własnej.

Kto wśród licznych i ciemnych mas—bo nie ludźmy się: nasze masy są ciemne—kto wśród tych mas będzie głosił słowo Chrystusowe i trzymał na wodzy sumienia ludzkie, już i tak wielce sobie folgujące, jeśli światłych i pojmujących powołanie swoje księży zabraknie?

Kto będzie przemawiał do ludu? kto potrafi utrzymać nadal tę siłę potężną, jaką ciemnych tłumom daje wiara?

Do pracy takiej trzeba ludzi w całym tego słowa znaczeniu, tem lepszych, tem światlejszych i gruntowniej wykształconych i przygotowanych, im trudniejsze jest zadanie do spełnienia, które ich czeka w życiu.

Dziwić się należy, że w społeczeństwie, gdzie stan duchowny tylu wydał słynnych uczonych, natchnionych kaznodziejów, znakomitych wychowawców, pierwszorzędných pisarzy, myślicieli, poetów, moralistów, a przedewszystkiem mężów pełnych cnoty, zaparcia się siebie, żeby w tem społeczeństwie średni census naukowy i mniej dostatnie prebendy miały stanowić o powołaniu kapłańskim i liczbie kandydatów do seminariów duchownych.

Smutne byłoby to świadectwo dla chwili dzisiejszej, gdyby na wybitne stanowisko społeczne miało odpowiednich ludzi zabraknąć.

d

Syrena bez wody.

Jakkolwiek jestem zapalonym symbolikiem, nie mogę sobie wyobrazić, czybym nie zawołał „Pogotowia“, znalazłszy się sam na sam z niewiastą, któraby... do połowy była rybą. Najpierw, choćby śpiewała rzeczywiście jak syrena, bałbym się, aby jej nie obeschły pletwy.

Powtóre... gdybym zapragnął nawet puścić się z tą czarodziejką na samo dno koryta mętnej Wisty... gdziebym znalazł dostęp bezpieczny do tej królowej rzek naszych, którą już Klonowicz Sebastian wdzięcznym opiewał rymem?

To dobrze, jeśli wyrzeka marna jedna osobistość, ale co rzeknąć o setkach tysięcy „syrenów“ i syren, nie posiadających ani pletw, ani ogonów, pokrytych rybią łuską?

Gdzie mieszkańcy Syreniego grodu, inaczej dyszące powietrza ostatkiem warszawskie śledzie, kielbie, płotki i karasie, mogą zażywać kąpieli rzecznej?

Rzeka jest—możnaby w niej utopić z górą trzysta tysięcy ludzi.

Ale gdzie łaźienki?

Jeśli mieszkasz, dobry człeczce, w rozpalonym miasteczku, a pragniesz ochłodzić się, ruszasz tramwajem do Zjazdu. Następnie piechotką przez most (spory kawał drogi, a tu upał!), i nareszcie dostajesz się do łaźienki po drugiej stronie Wisły na Pradze.

Tam ścis, niewygoda, wrogowie już nie drobnowidzowi, lecz golem okiem widzialni, i woda brudna.

I znowu spacerek przez most, tramwaj i wędrówka do domu, aby się obmyć po kąpieli.

Zali (używam archaicznej formy—może to poskutkuje?), zali nie doczekamy się nigdy, aby kąpiel wiślana zażywana być mogła przez mnogie rzesze, chłodu spragnione?

Zali w czeluściach piekielnych skwierczące potępieńce nie znajdą cichego schronu, gdzieby zczerniała od promieni słonecznych głowę w nurtach wodnych zanurzyć potrafili?

Gdybym był syonistą, ręczę, że posiadałbym dogodną mykwę i „potrzebowałbym“ mieć do niej dostęp wolny.

Ale jako filosemita, muszę wędrować aż na Pragę i słuchać, jak w mostu żelaznych wiązańach jęczy wiatr:

Biedny narodzie!

W czas tak gorący,

Nie możesz serdecznie chcący

Wykąpać się w wodzie...

Woda szeroka

I bardzo głęboka!

Pójdzie na dno, jak kamień młyński,

Szlachcie hierozolimski!

Tak śpiewa sobie most...

Ale jakby tu zaśpiewać miastu, które, stojąc na miejscu od czasów Warszawy (nie znałem tego szlachcica!), dotychczas się na przyzwoicie urządzone kąpiele rzeczne nie zdobyło!

Gdyby się jaka energiczna syrena zechciała tem zająć... może byłby jaki skutek... Ale bez syreny ani rusz!

d

✱

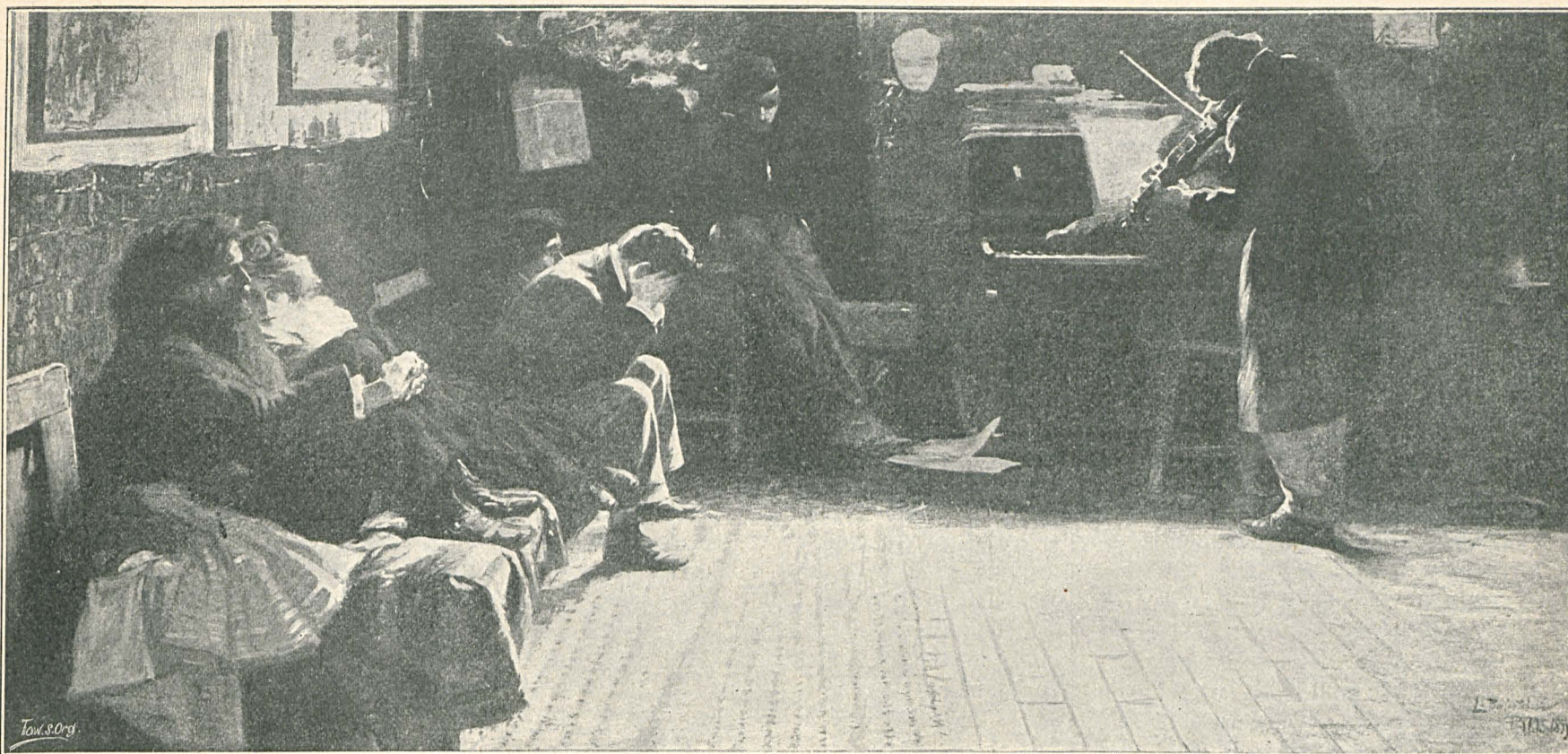
Wyjaśnienie i replika.

W notatce naszej, dotyczącej przedruku końca „Krzyżaków“ w „Kraju“ bez podania źródła, wymieniliśmy w sposób nawiasowy „Słowo“, jako organ, który według umowy drukował tę powieść współcześnie z „Tygodnikiem“. Ponieważ wiadomość ta mogłaby dać powód do fałszywych komentarzy, oświadczamy w imię słuszności, że publikacja „Krzyżaków“ w „Słowie“, aczkolwiek dokonywana dla względów technicznych nie z rękopisu, znajdującego się w naszym posiadaniu, lecz z odbitek „Tygodnika“, nie była przedrukiem w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, lecz równouprawnioną publikacją. Wyjaśnienie to, rzecz prosta, nie zmienia i nie osłabia wcale zarzutów naszych, skierowanych pod innym adresem i nie mogących w żadnym razie stosować się do „Słowa“, którego „Kraj“ również nie zacytował.

Gdyby „Kraj“ wymieniał „Słowo“, „Tygodnik“ nie miałby zasady do reklamacy i nie odzywałby się wcale. Ponieważ jednak organ petersburski przemilczał tytuły obu pism, interesowanych w sprawie przedruku, każde z nich miało prawo upomnieć się o swoją krzywdę, a że nie każde chciało korzystać z tego prawa—to inna kwestya. Pretensyi więc naszej nie można nazywać „dziwaczną“, dziwacznym natomiast jest rozdrażnienie „Kraju“, który woła na głos, że „nie chce nie mieć „Tygodnikowi“ do zawdzięczenia.“

Ależ, Boże drogi, czyż nam zależy na tem, żeby sobie zaskarbiać wdzięczność „Kraju?“ Nie szło nam ani o wdzięczność, ani o interes materialny, lecz o zasadę słuszności, którą „Kraj“ przemilczeniem swoim pogwałcił. A jeżeli uczynił to z pobudek osobistych z powodu antypatyj, jaką ku nam żywi, to tem gorzej, ale nie dla nas. Bo, po pierwsze sympatye i antypatye osobiste—to rzecz prywatna, która publiczności nie a nie nie obchodzi, a powtóre sympatya i antypatya—to nie argument.

Nie możemy również uznać za argument ironicznej uwagi, że przedruk wynosił tylko 60 wierszy. Czy 60 czy 60,000—to istoty czynu nie zmienia. Jeżeli istnieje zasada i zasada słuszna, że trzeba przy przedrukach podawać źródła, to należało się tej zasady trzymać i podać źródło, jeżeli nie jedno, to drugie, jeżeli nie „antypatyczne“, to „sympatyczne“. Wtedy wszelkie reklamacye nie miałyby podstawy.



TRILBY

Z Wystawy Paryskiej.

L. BOLESTIERI

Sztuka na wystawie paryskiej.

III.



hali rzeźb, nawet na tle pełnej ruchu rzeźby francuskiej, uderza tu i owdzie rzucone fragmenty, że tak powiem, prac wprost wyszarpanych z kamienia.

Odbijają te fragmenty, po części najmłodszych artystów, od reszty dzieł tak, jakby np. odbijały twarze inteligencji, blade, nerwowe, wypracowane w czołach i oczach, od spokojnych, rumianych i sympatycznych twarzy wieśniaków. Fragmenty te niepokoją i zastanawiają: co to jest? szkice, próby czy poronienia?

Wśród innych uderza najsilniej grupa p. t. „Pocałunek,” w której ta szczególna nerwowość roboty i szkicowość układu ujawnia się najwyraźniej już za wolą artysty. I jednocześnie, bez dalszych zastrzeżeń, czuje się, że to jest dzieło sztuki, nie próba lub poronienie.

Autorem „Pocałunku” jest August Rodin. Ażeby zaś zrozumieć istotę przekształceń w rzeźbie nowoczesnej, trzeba poznać dzieła tego potężnego odnowiciela.

Pawilon Rodin’a zgromadził mniej więcej cały owoc jego dwudziestoparoletniej pracy, paręset dzieł i fragmentów. Trzy czy cztery sale pawilonu tworzą dziwną całość. Oto jest się tu, jakby w jakimś wizyonskim świecie. Dokoła kłębią się, kureczą, kipią ciała ludzkie, wyciągają się potępięczo ramiona, wiją się w węzowych uściskach kadłuby. Pod tymi splotami ciał górują twarze bolesne, zadumane, twarze w ekstazie, maski poczwarne, czoła poorane.

Tu i owdzie motyw, powtarzający się najczęściej, rodzaj uścisku dwojga, ale uścis-

ku pełnego najczęściej zapamiętania, graniczącego z szaleństwem. I obok znowu twarze myślicie, najszlachetniejsze profile, mądre, jasnowidzące, natchnione głowy.

Gdyby jakiś potężny myśliciel, a jednocześnie wielki plastyk, zapragnął wymarzyć w kamieniu dantejski świat, świat piekielnych żądż i zgryzot, bezgranicznych smętków, bólów, natchnień i porywów, marzenia jego takby musiały wyglądać.

„Gdyby” jest tylko wybiegiem stylu, gdyż Rodin od lat dwudziestu pracuje nad wielkiem dziełem p. t. „Brama piekielna,” a wyżej opisane wizje kamienne są właśnie fragmentami tej potężnej pracy. Tylko że przez życie, czy przez piekło, wielki artysta prowadzi nie siebie, lecz jak gdyby *dwoje*, kobietę i mężczyznę. Uczucia *dwojga*, rozdźwięk lub zespół *dwojga* istot ludzkich—oto właściwy temat tej rzeźby. Stąd ta obfitość „pocałunków,” która cieszy gawiedź i smuci pedantów.

Artysta zaś po prostu bierze je jako element życia, potężniej, jakby w akordzie, oddający jego treść.

I oto, nie przestając podziwiać słodkiej i pięknej harmonii rzeźby klasycznej, czujemy nagle, że nam jakiś Prometeusz rozwidnił gdzieś w niezmierzoną dal cały nowy horyzont sztuki.

Gdzieś zniknął urobiony tak bosko kształt rzeźby atletycznej, ani jednej z grecka konwencyonalnej fałdy, ani jednego torsu, któryby był tylko torsem, tylko wystawą pysznej muskulatury. Przed oczyma obnaża się z kamienia nie człowiek-gimnasta, nie

człowiek-atleta, nie człowiek-Apollo, lecz człowiek-człowiek.

Na miejscu przepięknej gry muskułów wystąpiła na plan pierwszy gra nerwów. Model zniknął, ujawniła się potężnie dusza twórcy, dusza człowieka widzącego „przed oczyma duszy” tyleż ludzkich istnień, co Grek widział—„boskich kształtów.”

Nie nam ujawniać tajemnicę *ręki* takiego plastyka. Dzieła jego przemawiają potężnie wprost do duszy widza—to wystarczy. Wybór tematów charakteryzuje kierunek jego myśli: Wiktor Hugo i Balzac, Mieszczanie z Calais i Brama Piekielna, która jest olbrzymim poematem Dwojga w świecie żądż i myśli—oto główne etapy twórczości Rodin’a.

Jeżeli zaś tematy określają kierunek myśli rzeźbiarza, to znów sama twórczość jego zapowiada i poniekąd urzeczywistnia kierunek nowej rzeźby. Oto z większą niż dotychczas siłą ucieleśnia się w sztuce nowoczesny typ ludzki, *typ duchoboreczny*, w znacznej mierze przeciwstawny *typowi atletycznemu*.

Urzeczywistnia się niejako proroctwo Carpeaux: walka i dramat życia zastępują w rzeźbie ruch i ćwiczenia członków.

IV.

Kiedy z białej hali rzeźby przechodzi się do salonów malarstwa, ma się wrażenie podobne, jak gdy ze szczytów górskich schodzi się w doliny. Znika z przed oczu świat czystych i szlachetnych kształtów—świat potężnego porywu i jednolitości. Natomiast, w przesyconej jakby cieplarnianym wyziewem

atmosferze — rozkwita barwny kalejdoskop, sztucznie łamią się światła i cienie.

Po wielkim chorale sztuki—urozmaicony bardzo koncert muzyki kameralnej.

Wzrok jest, że tak powiem, przeciążony pracą. Skomplikowanie efektów światłocienia i barwy, a równocześnie monotonność formatu, brutalne linie ram i wreszcie wieczna kłótnia sprzecznych z sobą, a obok wiszących płócien z innym oświetleniem, wszystko to razem wali się literalnie na widza i zniewala go do ciężkiej pracy, dla zdobycia właściwego „punktu widzenia.“ Zwłaszcza trudno o punkt taki tam, gdzie kilkanaście tysięcy płócien rozlokowano w nieopisanym tłoku, który zapewne ma być wyrazem bogactwa sztuki. Tłum znużonych widzów odprawia pobożną pielgrzymkę od obrazu do obrazu, skwapliwie czytując z nich podpisy mistrzów i szukając w katalogu tytułu i anegdoty „sensacyjnych“ tematów. A trzeba przyznać, że jest tu istne zatrzesienie. Oto milowe płótna rewii morskich i lądowych. Oto sceny oficjalne rozdawania nagród, posiedzeń akademii. Oto wielkie na miarę ściany stojącej alegorye z obfitością nagiego cielska i przelewu krwi. Oto ilustracje do romansów Flaubert'a lub Maupassant'a. Oto wreszcie ciężkie maszyny historyczne i obłęzenia, zdobycia i wjazdy tryumfalne.

Katalogi pracują, świadomi rzeczy znawcy tryumfująco udzielają objaśnień: ten z prawej strony—to sam sułtan Murad, a ta, co tak trzyma ręce, to niby ma być kochanka tego, co się zabija i t. d., i t. d.

Jako kto może, tak dopomaga „sztuce“, niektórzy podejrzliwie obzierają płótna: „czy niema czego z tyłu?“ Przypomina mi się publiczność z pawilonu Rodin'a, obchodząca dokoła „Pocałunki“ w nadziei, że się „coś więcej“ da zobaczyć... Tylko, że tu, w salach malarstwa ponownie anegdota jest niemal powszechna; usprawiedliwia je w znacznej mierze fakt, że w istocie dla ogromnej liczby tych „dzieł sztuki“ anegdota mniej lub więcej sensacyjna jest jedyną racją bytu. Czuje się tu wyraźnie już nie zależność, lecz prawie poddaństwo sztuki wobec życia.

Schlebianie gustom, tematy oficjalne, elukubracje kwiatów i owocotwórcze wielkiej liczby pańien, oddających się dziś malarstwu, jak ongi fortepianowi, aktualne portrety, spekulacje na amatorach „na au salon“—wszystko to razem zabagnia w ogromnym stopniu przybytek „czystej sztuki.“ Już nie życie, lecz jego skandaliczna kronika wtargnęła do salonu i czynią z malarstwa rodzaj pokrewny prasie brukowej.

Nic dziwnego: państwo, urządzając wystawę dziesięcioletnią, musiało uwzględnić obfitą produkcję tych, którzy rok rocznie „tworzą“ na pożytek mair'ów, municypalności, prefektów i ministrów.

Okoliczność ta zdecydowała o fizyognomii francuskiego salonu, zajmującego pół wystawy. Niektóre sale wyglądają po prostu tak, że brak w nich tylko stołu z zielonym sukniem i dwunastu dziewcząt w bieli na powitanie p. prefekta.

Z drugiej strony malarstwo, jako sztuka, z pozoru przynajmniej najdostępniejsza dla dyletantów, przechodzi dziś w istocie ciężkie przesilenie, atak snobów pod sztandarem

rem mody. I dzieje się rzecz najpotworniejsza: oto sztuka ta, jak każda sztuka, powołana do roli zwierzchniej nad życiem, sama staje się jego posługaczką.

„Realizm“ służy za pretekst dla wyładowywania się barbarzyństwa takich „artystów“, z których co najwyżej dałoby się zrobić lichy aparat fotograficzny dla reportera. „Symbolizm“ wabi pół-mędrków i pół-literatów pozorną łatwością „wypowiedzenia się.“ Na „Martwą naturę“ w postaci sera i owoców rzucają się nienasycone apetyty starych i młodych „miss, missek i misseczek.“ A nade wszystko już używają protegowani mair'ów, republikańscy, imperyalni i c. k. urzędnicy malarstwa inauguracyjno-recepcyjnego. Stąd już droga wiedzie tylko do panoramy.

Ktoś powiedział, że w literaturze wszystkie rodzaje są dobre, prócz rodzaju nudnego. Trzeba tylko dodać, że w sztuce nudnem jest wszystko, co bezduszne. Otóż moda, naśladownictwo i urzędowość są przeciwnymi krańcami życia duchowego, i wtargnięcie ich najżywniejszą sztukę przyprawić musi o chorobę.

Przypuszczam, że malarze sami i fachowi znawcy malarstwa znoszą te rzeczy dużo obojętniej od nas, t. j. od ludzi idących po prostu za wrażeniem.

Oni mają cudowną obojętność i pogardę, umieją po prostu nie widzieć nic, prócz tego, co dla nich jest potrzebne. My zaś mamy naiwną ciekawość „całości“ i naiwniejszą jeszcze wiarę, że taki np. Pałac Sztuki od góry do dołu zawiera „samą sztukę“, sam miód twórczości. „Jury“ wie dobrze, że tak nie jest.

Najlepiej więc oddać się wrażeniu, mijając to, co go nie wywołuje, zatrzymując się tam, gdzie obraz sam woła na widza.

Mniej to zawodna busola, niżby się zdawało. Sztuka w wielkich swych dziełach była zawsze tylko objawianiem się różnych stron duszy ludzkiej. Więc najuboższe dusze odczuwają zawsze te wielkie wołania dusz potężnych, kierowniczych; mniejsza o resztę.

Wystawa obecna nie ziszcza wszystkiego, co obiecuje, daje jednak jeszcze bardzo wiele. Połączone całości malarstwa francuskiego od XVIII w. do r. 1889 i od 1889 do 1900 dają piękny, choć sumaryczny obraz.

Nie należy tylko zapominać, że to jest tylko „pendant“, uzupełnienie bogactw, nagromadzonych w Luwrze i Luxembourg. Tak zwana wystawa stuletnia retrospekcyjna jest po prostu wystawą obrazów różnych epok i mistrzów, będących w posiadaniu różnych miast Francji i po części osób prywatnych. Dzieł malarstwa francuskiego, wielkich jego tryumfów nie wyczyta z tych ciekawych zresztą dodatków niewprawne oko widza.

Niektóre tylko działy, pejzaż i portret, dają prawie nieprzerwany ciąg swego rozwoju. Dwie te gałęzie zbyt potężnie rozwijały się we Francji, ażeby nie dało się to odczuć, w każdym niemal ułamku jej malarstwa. Ale i tu ogromne braki, brak najlepszych dzieł Corot'a, brak całego Monet'a—biorąc dwóch na krańcach wieku odnowicieli pejzażu. I ogień pośrednich szukać trzeba w Luwrze i Luxembourg. Brak również jedynego, najpotężniejszego malarza fresków

nowoczesnych, Puvis de Chavannes'a. Trzeba go szukać w gmachach publicznych Paryża, w Panteonie, w Ratuszu. Brak wreszcie secesjonistów francuskich, t. j. krańcowych malarzy „drugiego“ i „trzeciego“ salonu, co tem bardziej bije w oczy, gdy się zważy, że secesja wiedeńska i monachijska wystąpiły w całym rynsztunku. Za mało jest Gustawa Moreau, za mało Belgijczyków, jak Leempoels, a nade wszystko Felicyan Rops, których lepiej można było poznać na zwykłych wystawach.

Najobficiej zaprodukowali się na wystawie dziesięcioletniej kawalerowie legii honorowej, t. j. kategoria malarzów z Salonu Pół Elizejskich, kategoria „naszych znanych“, jak: Detaille, Bouguereau, Dagnan-Bouveret, Gros, Renner, Goroex, Tattegrin, Laurens, Lefebvre, Rixens, Roll, Rochegrosse, Lhermitte, Maignan i t. d. Z tem, co znamy już z tych artystów w Luxembourg'u, wystawa obecna daje zupełnie dokładne pojęcie o ich roli w malarstwie francuskim. Obficie również wystąpił portret, poczynając od Carolus'a Duran, Bonnat'a, Benjamin-Constant'a, kończąc na Gandaza.

Ze starszych jest także kilkanaście szkiców Breton'a, Ziem'a, barwne pejzaże morskie, sielskie widoki Narpignich.

Po dawnemu jednak z pośród tych znanych i uznanych nie trudno będzie wydobyć się widzowi, który w sztuce woli walkę indywidualności i wieczny niepokój artystów, „szukających“ całą duszą, od biegłości utalentowanych przedstawicieli tryumfu akademickiego. Kilka płócien Aman-Jean'a, Besnard'a, Carrière'a, kilka pastelów Jevill'a, trochę Rafaellego wystarczy, ażeby przypomnieć, że po za tym wielkim jarmarkiem „uznanych“ istnieje świat najszlachetniejszej pracy poczyni.

ANTONI POTOCKI.



Na kresach ciepła i zimna.



Obszar temperatur, jakie sztucznie otrzymywać umiemy, w ostatnich czasach znacznie się rozszerzył. Zdobyto kresy ciepła i zimna, które przed niewiele jeszcze laty zgola były niedostępne. Warto więc spojrzeć, dokąd nauka dotarła obecnie, jakie jej środki do zdobycia tych tryumfów posłużyły.

I.

Potęę i grozę zarazem ogień w sobie mieści, daje moc człowiekowi i dobytek jego niweczy. Gdy panem ognia stał się człowiek, nauczył się metale z rud wytopić i odniósł pierwsze nad przyrodą zwycięstwa, które były początkiem cywilizacji. Dlatego też pochodzenie mu boskie przypisywał, za świętość go uważał. W krzaku gorejącym ukazuje się Bóg Mojżeszowi, a Prometeusz, że płomień z Olimpu na ziemię ściągnął, do skał Kaukazu przykuty jęczy, orłom na pastwę rzucony. Dziewicze westalki w Rzymie, a w gajach litewskich wajdelotki ognia wiecznego strzegą, symbol jedności narodowej, jakby spotęgowanie ogniska domowego. I dotąd jeszcze, jak niegdyś, zasila ogień ciepłem mieszkania nasze, ale znaczenie jego wzrosło, odkąd potężne maszyny w ruch wprawia i wozy pędzi.

Głównem dla nas źródłem ciepła jest energia, uśpiona w cząsteczkach ciał różnorodnych, która się budzi i wyswabza, gdy cząsteczki te



„QUO VADIS“ NA SCENIE TEATRU W WODEWILU.

Fot. dla „Tygodnika“ A. Karoli.

rzucają się ku sobie, by w nowe się związki zespolić. W szczególności zaś najłatwiej następuje się łączenie ciał z gotowym zawsze w powietrzu tlenem, czyli spalanie ich po prostu. Obfity zasób ciepła, które się przy tem wywiązuje, rozgrzewa ciała tak silnie, że rozżarzają się i rozjaśniają, dając objaw ognia. Jeżeli wytwór spalania stan stały zachowuje i na powierzchni bryły płonącej pozostaje, jak zendra na żelazie, ogień jest żarem tylko; jeżeli zaś skutkiem palenia rozwijają się substancje lotne, powstaje płomień. Płomień więc jest to tylko zbiorowisko rozpalonych, świecących par i gazów.

Proste to wyjaśnienie nowe dopiero zdobyły czasy. Dla filozofów starożytnych ogień był jednym z czterech żywiołów, był jakby odrębną substancją, w ciałach palnych utajoną, która się z nich wyrwać i oswobadzać może. Wtedy dopiero, gdy rozwinęła się znajomość gazów, w końcu wieku ośmnastego, a Lavoisier na tej podstawie nową chemię ufundował, zrozumiano, że ogień nie jest bynajmniej jakąś substancją osobną, lecz zjawiskiem tylko, objawem, świadczącym o wywiązywaniu się ciepła przy reakcyach chemicznych, przy wiązaniu się pierwiastków w nowe, złożone ciała.

Energia chemiczna spoczywa, przechowana w substancjach, jako ich powinowactwo. Gdy dwa gazy, do wzajemnego połączenia się uzdolnione, pomieszczone są z sobą, oczekują tylko podnieci, której udzielić im może iskra elektryczna, promień światła, lub też podsyćenie ich temperatury. Działanie następuje wtedy gwałtownie; każda cząsteczka jednego gazu napotyka w bezpośrednim swym sąsiedztwie cząsteczki gazu drugiego, rzucają się ku sobie i jakby w uścisku wzajemnym jednoczą, w każdym punkcie zetknięcia żar się wzbudza, płomień rozwija się nagle, a cała masa, razem z jej otoczeniem, doznaje silnego wstrząśnienia. Taki więc wybuch zachodzi przy zapaleniu słynnej mieszaniny piorunującej, złożonej z tlenu i wodoru, nagle się w wodę łączących; tak samo wybucha i proch strzelniczy, składający

go bowiem materiały raptownie się w atmosferę gazów palnych przeobrażają.

W warunkach bardziej pospolitych proces ten przebiega spokojniej; gdy prąd gazów wdiera się zwolna w powietrze, łączenie chemiczne dokonuje się stopniowo, żar wzbudza się jakby na granicy zetknięcia przenikających się wzajem substancji lotnych, a ogień wciąż płonie, dopóki się wywiązywanie gazów nie przerwie. Są to zwykle nasze płomienie, a cały ten przebieg ujawnia nam dobrze drobny płomyk świecy, gdzie gazy, z rozkładu stearyny powstające, łączą się z tlenem powietrza otaczającego. Badanie płomieni następuje pytania różne, nas wszakże teraz obchodzi tylko ich temperatura.

Otóż, temperatura ta jest bardzo różna i w rozległych bardzo przypadać może granicach; są płomienie chłodniejsze i gorętsze, albo raczej, mniej i bardziej gorące. Zależy to najpierw od ilości ciepła, jakie się przy spalaniu materiałów płonących wywiązuje, a dalej od ciepła właściwego produktów spalania, to jest od tego, czy więcej, czy też mniej ciepła do rozgrzania swego zużywają. W ten sposób obliczyć można, że temperatura płomienia tleno-wodorowego, czyli płomienia gazu piorunującego, wynosi 8000 stopni. Jest to żar imponujący, w rzeczywistości wszakże temperatura płomienia tego daleka jest od tak obliczonej granicy, para bowiem wodna działaniu potężnego żaru oprzeć się nie może, lecz rozpada się zupełnie na swe części składowe już w temperaturze nie dochodzącej do 3000°, a i w daleko niższej już temperaturze częściowemu przynajmniej ulega rozpadowi, czyli dysocjacji. Gdy więc wódor płonie, pewna tylko część jego z tlenem istotnie się łączy, reszta zaś z powodu wysokiej temperatury traci możność wiązania się z nim, a stąd płomień daleko mniej ciepła wytwarza i słabiej się ogrzewa, aniżeli to z rachunku wspomnianego wypada. W każdym razie jest to zapewne najgorętszy płomień, jaki otrzymać możemy; temperatura jego wszakże się zniża, gdy spalanie wodoru odbywa się nie w czystym tle-

nie, lecz w powietrzu. W tym bowiem razie kosztem wywiązywanego ciepła ogrzewa się też azot w powietrzu zawarty i znaczną część jego wiąże.

Ilość rozwijającego się przy paleniu ciepła jest niejako miarą powinowactwa chemicznego ciał, z sobą się łączących. Gdy się obojętniej względem siebie zachowują, cząstki ich z mniejszą ku sobie biegną energią, z mniejszą gwałtownością o siebie uderzają, obfitość ciepła wzbudzonego jest mniejsza, a płomień niższą ujawnia temperaturę. Najchłodniejszy jest płomień pary fosforu w powietrzu; jest on tak słaby, że w przyćmionej tylko izbie dostrzegać się daje, a tak chłodny, że papier od niego zatlić się nie może. Pomiedzy zaś obie granice, które przytoczyliśmy, wtrącić można całą skalę płomieni, coraz silniej rozżarzonych, coraz gorętszych.

Wszystkie w ogólności ciała rozpalają się do ciemnej czerwoności w temperaturze 525°, zatem w ogniu zwykłych pieców naszych; w miarę, jak temperatura ich wzrasta, do wysyłanych pierwotnie promieni czerwonych przybywają dalsze promienie widmowe, czyli tęcze, żółte, zielone i niebieskie. Przy 900° blask ciał rozpalonych staje się wiśniowo-czerwonym, przy 1,200° jasno pomarańczowym; przy 1,300° rozżarzają się do białości, przy 1,500° białość jest oślepiająca. Jest to żar najpotężniejszych ognisk hutniczych.

Wszystko, co żywość i szybkość palenia podsyca, podwyższa też i temperaturę płomienia. Tak działa więc komin wysoki, który dopływ powietrza przyspiesza, albo miech, który je do wnętrza płomienia wtrąca. W lampach, które do ogrzewania służą, w kuchniach gazowych, płomień świeca słabo, ale grzeje silnie, gaz bowiem dopływa do nich należycie już z powietrzem zmieszany, łączenie się więc z tlenem we wszystkich ich częściach bystro zachodzi.

DN

STANISŁAW KRAMSZTYK.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIELŁY.

13.)

Bolko z małym toporkiem w ręku szedł naprzód i mówił szeptem:

— Rozważnie tu stąpać trzeba... Są tu bowiem poskładane zawsze kosze, powrozy i liny, iżby w razie pożogi ratować się można... Tedy ostrożnie, aby potknąwszy się, nie sprawić niewczesnego łoskotu.

Weszli, minęli Reginkę, nie spostrzegłszy jej, i wkroczyli do komnat dalszych.

A Reginka, w omdleniu, osunęła się na kolana, przypadła twarzą do ziemi.

Tymczasem Siemko Bełza z ukrycia swego widział wszystko. Gdy pogoń za nim ustała, wysunął się i spostrzegł zaraz, że to nie były, jak zrazu mniemał, zamkowe strażę. Skradali się ku furcie, jak złoczyńcy. Posłyszawszy hasło, hukanie sowy, domyślił się, iż to był z kimś z zamku umówiony znak... I ujrzał wreszcie, jak pod przewodem jednego, kilkunastu ludzi wkroczyło do baszty.

Zadrżał na myśl, że to jakowys zamach być musiał, i że niebezpieczeństwo i jego umiłowanej Regince zagrozić mogło. Tedy niezwłocznie pobiegł do dworku Przecława.

Stary rycerz zrazu wierzyć nie chciał opowieści.

— Bajesz, młodzianku!—mówił:—to jest niepodobna. Straże czuwają...

Ale na zaklęcia Siemka, narzucił korman na siebie, wziął miecz do ręki i wybiegł.

Oczom jego niespodziewany przedstawił się widok. W oknach zamkowych błyskały już jaskrawe światła, dochodziła stamtąd wrzawa głosów. A w tymże momencie z wież kościelnych uderzono w dzwony...

Niebawem też wszczął się rozruch w mieście i wokoło zamku. Biegł tam i pan z Goraja z kilku zbrojnymi dworzany, biegł i Spytko ze swymi. A gdy wysłany przez Przecława naprzeciw nich Siemko, opowiedział im, co widział na oczy własne, odrazu domyślili się, co się stało, i truchleli na myśl, że przybyć mogą za późno.

Już w oknach tronowej sali zabłyśły pochodnie, i coraz wyraźniej słysząc było wołania, okrzyki, jak gdyby tryumfu.

Zapalczywy Spytko wkroczył pierwszy na zamek przez główną bramę, pan z Goraja zaś budził śpiące warty, które nie widziały, czy też widzieć nie chciały napadu, i swoich na czatach umieszczał. Przecław zaś pobiegł do onej furty w baszcie południowej, iżby zaprzec napastnikom tę drogę do ucieczki.

Ale tu już zbiegał Bolko, który, posłyszawszy rozruch, natychmiast pomyślał o tej furcie, pozostawionej otworem. Tu tedy zbiegł zdyszany, iżby nie dopuścić wtargnięcia. Ale nim kłódkę zamknąć zdołał, silne ramię Przecława i dwóch pacholików zbrojnych odepchnęło go i furtę otwarło naosiecz.

Rozpoczęła się walka w ciemnościach, Bolko wołał o pomoc i toporkiem naoslep broił się.

Przecław, posłyszawszy głos, zadrżał:

— Niegodny!—krzyknął—niegodny łotr!.. tyś jest syn mój Bol...

Nie dokończył. W tymże momencie krew ciepła zalała mu oczy... Toporek Bolka, odbity przez jednego z pacholków, ranił mu czoło i głęboko przeciął twarz...

Stary rycerz oparł się o ścianę, moment chwiał się i bez jęku na ziemię runął.

Bolko zaś, widząc co sprawił, dziką rozpaczą zdjęty, począł głośniejsze jeszcze wołać ratunku i jak oszalały na górę wbiegł. Żaden z pacholików nie gonił go, zajęci bowiem byli ratowaniem omdlałego Przecława.

Ten zaś wrychle przychodził do siebie.

— Dźwignijcie mnie!—rzekł.

Postawiono go na nogi, on zaś dodał:

— Tu stójcie i trzymajcie straż... Zamknijcie furtę i nie wypuszczajcie nikogo... Głową odpowiecie... Ja pójdę tam!...

I chwiejnym krokiem wstępować począł na strome schody. Ramieniem o mur się opierał, sunąc się zwolna w górę, a drugą ręką ocierał z czoła krew, która wciąż zalewała mu oczy i schody kamienne broczyła. Co moment słabnął i przystawać musiał, a nad sobą w górze słyszał coraz gwałtowniejszą wrzawę, wśród której wybijał się wyraźnie rozpaczliwy Bolka krzyk:

— Ratunku!

Ale na wołanie Bolkowe nikt już teraz baczenia nie dawał. Popłoch stał się okrutny. Właśnie w momencie, gdy Wilhelma drużyna i świadkowie dotarli do sali tronowej, właśnie w momencie, gdy Wilhelm Ziemowit Mazowiecki i pan Gniewosz z Dalewic, porzucawszy zwierzchnie kormany, w strojach godowych udali się do królowej, iżby ją uroczystie wprowadzić, wszczął się ruch okrutny. Do sali z drużyną zbrojną wpadł pan Spytko, cały jak gdyby w ogniu rozszalały.

Do pierwszego Pawła Gryfity, który w progu stał, krzyknął:

— Mam cię, zdrajco, i nie puszcę! Głowę pod miecz katowski dasz... dacie gardła wszyscy!...

Ponura twarz Gryfity kurczyła się w bezsilnej złości.

— Patrz-no,—odkrzyknął—iżbyś ty gardła nie stradał, za gwałt, który czynisz...

W tym momencie ozwał się wielkim głosem dotychczas milczący katedralny dzwon. Z rozkazu księdza Nawoja, na trwogę bił, donośnie, zwolna, ponuro, a na ten odgłos, dzwony inne, które radośnie brzmiały, za moment zmiłkły.

— Napad na zamek!—wołano w mieście—pożoga!

I przerażone tłumy śpieszyły na Wawel.

Tymczasem do sali wszedł pan z Goraja i, przerywając zwadę Spytkę z Gryfitą, rzekł z powagą:

— Wszyscy tu, aż do rozkazu królowej, jeńcami mymi jesteście. Wszystkie wyjścia zaparte, nie ujdzie nikt...

Powiódł po zgromadzonych okiem i spytał:

— Kędy jest książę?...

Na to pytanie nikt odpowiedzi nie dał, więc pan z Goraja hardo głowę wznosił i krókiem pewnym skierował się ku komnatom królowej.

Tam jednak przed nim już pośpieszył przerażony Suchenwirt. Zobaczywszy przemoc zbrojnej drużyny Spytkowej, przekonał się, jako tu wszelki opór byłby daremny, a klęskę i srombę przyniósł.

Wszedłszy, na kolana przed Jadwigą się rzucił.

— Królowa najjaśniejsza!—mówił niele dwie z płaczem—ani momentu do stracenia niema! Ocal tego, którego miłujesz... nie dozwól, iżby go w sromotną ujęto niewolę...

Jadwiga, z głową wzniesioną do góry, bardzo błada, z roziskrzonym okiem, potrząsała grzywą ciemnych włosów, ujętych w złotą przepaskę.

Pochwyciła Wilhelma za rękę.

— W niewolę—zawołała—nigdy!...

— Więc racz dozwolić, by stąd co rychlej uchodził!...

— Nie! nie!—zaprotestował Wilhelm—to byłby srom...

— Gorszy srom niewola—mówił Suchenwirt.—Walka z tą hałastą, która zamek opanowała, nierówna... Nie przystoi ona tobie, rakuskiemu książęciu!

I znów zwracając się do królowej, złożył błagalnie ręce:

— Rzeknij mu słowo, Miłościwa Pani, rozkaż, aby uchodził!... Zdobyte krwią gody weselne, nawet w razie zwycięstwa, jakieżby były? A wygrana niepodobna, przeto sromotne pęta niewoli, potem zaś wygnanie z za granic tego kraju, za gwałt popełniony... Rozważ, Miłościwa Pani!

Jadwiga marszczyła czoło, myśląc.

W tym momencie gwałtowna wrzawa wszczęła się u podwojów. Słysząc było zmieszane głosy pana z Goraja, Dobiesława z Kurozwęk, księdza Nawoja... Przybywali wszyscy strażnicy zamkowi na ratunek...

— Nie zaprzecie mi wejścia!—wołał drżącym głosem z Kurozwęk pan:—jam jest rządcą tego zamku i obrońcą czci królowej... Puściecie!...

Wzbranił się jeszcze odźwierni, zasłaniając się wyraźną wolą królowej...

— Pod naszą opieką jest!—odpierał pan z Goraja—a gwałtownicy podstępni ukarani być muszą...

— Śmierć im!...—wołali inni.

— Słyszycie, Pani? słyszycie, królowo?—szeptał błagalnie Suchenwirt, chyląc się aż do stóp Jadwigi.

Ona coraz bardziej blada, z zacisniętymi gniewnie ustami i namarszczonem czołem, milczała jeszcze moment, a potem zawołała:

— Więc dobrze!... uchodź, umiłowany mój książę. A ja za tobą pójdę, dziś jeszcze, ani momentu nie ostanę tu... w niewoli własnych poddanych... nie!

Suchenwirt całował kraj jej szaty.

— Dzięki ci, Pani, dzięki, królowo!...

Ale ona, nagle zdecydowana, zwróciła się teraz do Ziemowita.

— Odpowiadacie mi za niego, mój książę—rzekła.—Przeprowadzicie go tą samą drogą, którąście weszli, przez furkę...

Otworzyła drzwi małe, ukryte w ścianie...

— Uchodźcie tedy!—dodała z mocą.

I teraz już sama skłaniała do pośpiechu:

— Uchodźcie co rychlej!...

W bocznej antykamery, po za drzwiczkami temi, stała w śmiertelnej trwodze pani Beska, trzymając w objęciach osłabłą Reginkę, która obudzona z omdlenia wrzawą, za ledwie z baszty owej tu się przywlokła.

— Reginko!—rozkazała Jadwiga—wskaż wyjście...

Nie było czasu na pożegnanie, u głównych bowiem podwojów wrzawa coraz większa. Jadwiga rzuciła jeno za odchodzącymi:

— Nienadługo się rozstajem... Dziś jeszcze podążę za wami!...

Pozostawszy sama, szybko zbliżyła się do podwojów, kędy toczyła się już walka. Szamotano się i mocowano.

Odzywały się gwałtowne wołania:

— Przemocą ich brać! wiązać!

Z dala, z głębi komnat dochodził krzyk oszalałego Bolka:

— Ratunku!

Dreszcz oburzenia przeniknął Jadwigę od stóp do głowy:

— Otwórzcie!—zawołała silnie.

Na ten rozkaz usunęły się strażę, brońące wstępu, i otwarły się podwoje. A przez nie wpadli gwałtownie małopolscy panowie z Dobiesławem z Kurozwęk na czele. Sędziwy pan krakowski, z rozwianymi siwymi włosami, z twarzą krwią nabiegłą, aż siną, wyglądał groźnie. Wbiegł, ale widząc królową samą, cofnął się w zdumieniu:

— Miłościwa Pani... — zaczął głosem drżącym.

Jadwiga mówić mu nie dozwoliła:

— Dość tego! — rzekła porywco. — Za obrazę majestatu królowej odpowiecie srogo... Krzywda jej i pohańbienie niech spada na głowy wasze... Rozstapcie się!

Rozstapiono się w milczeniu, a Jadwiga z hardo podniesionem czołem, na nikogo nie patrząc, przeszła przez szeregi zdumionych i przelekłych swych strażników, dążąc do tronowej sali.

Tam było wszystko jeszcze jak przed momentem. Drużyna Wilhelma, otoczona zbrojnym rycerstwem, stała na środku w wielkiem pomieszaniu. Jeden Gryfita nie tracił otuchy i śmiał się szydłczo:

— Czekajcie—mówił—wszystko skończy się dobrze... Już teraz, gdy książę tu jest, w komnatach królowej, wygraliśmy... My wszyscy świadkami i całe miasto wie, jako

zamieszkał z małżonką. Nawet owi zbrodnie, których wypuścić kazałem na swobodę, a którzy w tym momencie już pewno wolni, świadczyć będą...

Nawet wrzawa, dochodząca do komnat królowej, nawet nieprzytomny krzyk Bolka: „Ratunku!”—nie przerażały go.

— Wszystko to na nic,—powtarzał—skoro książę tam jest!...

Wtem weszła królowa.

Krokiem pewnym wstąpiła na tronowe wzniesienie i, zwracając się ku Wilhelmej drużynie, głosem mocnym rzekła:

— Bywajcie, mości panowie, i przyjmijcie dzięki, żeście tu dostojnemu małżonkowi memu towarzyszyć chcieli...

Głos jej drżał nieco, gdy dodała:

— Ulegam wszakże zuchwałej przemocy... Stało się tak, iż gody weselne nie odbędą się teraz i nie odbędą się w tym zamku, który odtąd i dla mnie obcym jest...

Pan z Goraja blady, drżący, postąpił żywo naprzód, przerwać chcąc, ale królowa dumnym ruchem ręki nakazała mu milczenie i kończyła:

— O postanowieniu mojem dowiecie się niebawem... A teraz żegnajcie, mości panowie... wracajcie do gospody, kędy książę czeka na was...

Spozierano na siebie w zdumieniu:

— Jakto?—szeptano—uszedł książę?...

A pan Gryfita wystąpił i rzekł:

— Rozkaż, Miłościwa Pani, iżby nas przepuściły strażę... Wszak jeńcami jesteśmy... Zachnęła się gniewnie Jadwiga.

— Goście królowej jeńcami! — zawołała. — To nie może być! Nie dość-że jeszcze sromu?

I zwracając się ku Dobiesławowi:

— Mości panie! — dorzuciła — wolno ich puścić!... Ja tak rozkazuję!...

Wielkorządca dał znak. Otwarto wielkie podwoje na ścieżaj, i Wilhelmoi rycerze wychodzić zwolna poczęli; każdy przyklękał przed Jadwigą, która wspaniała a na pozór spokojna uprzejmym ruchem głowy żegnała ich w milczeniu. Na drżących nieco wargach miała blady, łaskawy uśmiech...

Gdy ostatni rycerz Wilhelmoi opuścił salę, Jadwiga zeszła ze wzniesienia i, nie patrząc na stojących wokoło panów, rzekła:

— Samą chcę ostać...

I odeszła do komnat swoich.

Tu dopiero opuściła ją siła woli. W sy-pialni swej na kolana przed obrazem Bogarodzicy upadłszy, nie słowami, które więzły w krtani, lecz westchnieniem wzburzonej piersi, jękiem cichym zbolalej duszy skarżyła się na swą niewolę i krzywdę...

— Naświetsza Matko!...—szeptała.—Matko Naświetsza!

I wyciągnęła oba ramiona do góry.

Ale nagle wzdygnęła się. Przeniknęła ją myśl sroga: zali Wilhelm bezpiecznie ujdzie? Ani pani Beska, ani Reginka nie wracały... W antykamery cisza, jeno zdala rozpaczliwe echo Bolkowego krzyku:

— Ratunku!

Porwała się z klęczek Jadwiga, otworzyła drzwi małe i weszła do antykamery. Było pusto i cicho. Szła tedy dalej, przez szereg izb panien dworskich, i tu już coraz wyraźniej dochodziła jej uszu wrzawa zmieszanych głosów, idąca od baszty naroż-

nej. Ścisnęło się jej serce śmiertelną obawą: czyżby ujęto Wilhelma?

Reginka, otrzymawszy rozkaz królowej, razem z panią Beską, która chwiejącą się dziewczeczkę podtrzymywała, przeprowadziła umykających aż do baszty narożnej. Poczęto schodzić ze schodów ku furcie, przy migoczącym świetle kaganka.

Ale idący naprzód pan Gniewosz wnet zawrócił przerażony, szepecząc:

— Tędy nie przejdziem... Zapiera drogę jakiś rycerz omdlały czy ranny, a w dole widzę straż... Wrzawę podniesie... Tędy nie przejdziem.

Stano długą chwilę, radząc szeptem w popłochu: co czynić? Może czekać, aż się uspokoi wszystko? Pan z Dalewic radził:

— Ukryć się w tej baszcie, a potem powrócić do komnat królowej, gdy nocna załegnie cisza. A choćby przyszło i tu w baszcie noc całą spędzić, to już zamieszkaniu przynajmniej pozornie stanie się zadość, a zuchwałe plany małopolskich panów zniweczone będą...

Ale stary Suchenwirt ani o tem słyszeć chciał. Zaklinał i błagał niemal ze łzami, iżby umykano, choćby przez to okno w baszcie... Są kosze i liny, możnaby na nich bezpiecznie spuścić księcia po za mur zamkowy. Uchylił okna i badał ciemną przestrzeń.

Drżącym głosem ozwała się Reginka:

— Bezpiecznie można... Baszta i to okno po za mur wychodzą...

Suchenwirt już opatrywał kosze, próbował siły powrozów i umocowywał je.

Ale Wilhelm wzdygał się na tę myśl i powtarzał:

— Nie! nie!

Był wszakże jak oszołomiony. Walczyć otwarcie z nieprzyjacielem onby potrafił, ale tu czuł się ściganym, jak dziki zwierz. Przenikało go oburzenie, gniew, poczucie upokorzenia strasznego, a zarazem w tej ponurej baszcie rodzaj lęku wobec niewidzialnego niebezpieczeństwa, lęku, który go przytomności pozbawiał.

Wtem nagle... nie było co się wahać. W dole u furty wszczął się hałas. Wychodzącego z zamku pana z Goraja spotkał wreszcie zropaczony Bolko i krzykiem swoim, wołającym ratunku, zniewolił, iżby szedł na pomoc zranionemu rodzicowi.

A pan Dobiesław rzekł:

— Chodźmy, bo i tak musimy ową furkę i basztę opatrzyć... Tamtędy musiał ujdź Wilhelm, a może jeno się skrył, iżby zuchwały swój zamysł osiągnąć... Królowa wszystkich uwolnić kazała, ale księcia, gdybyśmy dostali, nie puścimy...

— Tak!—potwierdził pan z Goraja—nie puścimy, bo jest gwałciiciel chytry i wróg...

Na rozkaz Dobiesława strażnicy otwarli furkę. Poczęto wstępować na kamienne schody, na których w ponownom omdleniu, wpływem krwi zwątlony, leżał Przeclaw stary. Przypadł do niego Bolko i cucił począł; wstrzymali się też pan z Goraja i Dobiesław. W świetle pochodni ukazało się oblicze starca całe złane krwią, która z zadanej na czoło rany sączyła się ciągle jeszcze kroplami i krzepła.

On oczy otworzył, a zoczywszy syna, odtrącił go i krzyknął:



MYŚL

AUGUST RODIN



LARGO

— Precz! ojcobójca! precz!

A na ten widok i na te słowa Bolko oszalał z rozpacz. Usta otworzył, ale głosu z piersi wydobyć nie zdołał. Zatoczył się, toporek z ręki wypuścił, ze stopni się zsunął i przez otwartą furtę wybiegł...

Tymczasem dzwignięto z ziemi Przecławę i usiłowano unieść w górę... Tam zaś była już cisza. Gdy się hałas ów u dołu wszczął, i gdy posłyszano kroki idących, już nawet pan z Dalewic począł nakłaniać do ucieczki. Wilhelm w zupełnem oszłomieniu czynił teraz co mu kazano, bez oporu. Za moment w milczeniu głuchem spuszczone go w koszu na linach za mur zamkowy. Za nim podążył Suchenwirt, który pana swego odstąpić nie chciał.

— Jeśli zginać mam,—powtarzał—to razem z nim!

I właśnie w chwili, gdy kosz po raz drugi spoczął bezpiecznie na ziemi, i gdy Mazowiec-

ki Ziemowit i Gniewosz ocierali podrapane i bolące od powrozów ręce, zdyszani wysiłkiem, otwarły się podwoje od komnat królowej, i na jasnym tle oświetlonego kurytarza stanęła wyniosła postać Jadwigi.

Zoczywszy Ziemowita i Gniewosza, zadrzała.

— Gdzie książę?—spytała z trwogą.

Ziemowit miał na ustach uśmiech szyderski, gdy wskazując ręką otwarte okno i zwieszające się liny, odparł:

— Uszedł bezpiecznie... tędy!

Pomimo poniesionej porażki, cieszył się on wszakże ze sromotnego pohańbienia Wilhelma.

I płomiennymi żądzą oczyma patrzył na wspaniałą postać Jadwigi.

Ona zaś zbladła jeszcze bardziej. Podniosła rękę do czoła i tarła je, jakby rozpierzchające się myśli zebrać chciała. Aż do krwi gryzła usta, szepcząc:

— Taka hańba, taki srom... I on zgodził się!...

W tym momencie zmalął w jej oczach wytworny książę. Otaczającą go światłość promienną tłumił cień...

— Tą drogą uszedł,—myślała—jak złoczyńca, jak zbrodzień! A!... lepszą byłaby śmierć!...

To uczucie upokorzenia, doznane w tem, co najbardziej umiłowala, dopełniło miary.

Rzuciła głowę, potrząsając grzywą ciemnych włosów, i zwracając się ku Ziemowitowi, rzekła z mocą:

— Więc niech się wszystko dopełni!... Pójdę i ja... pójdę za nim w tej hańbie... Chodź, mości książę, chodź, Gniewoszu... W więzieniu tem ani chwili nie zostanę dłużej!

I szybko poczęła schodzić ze schodów.

— Co chcesz czynić... Miłościwa Pani!... przez Boga!—szeptał zalekniony Gniewosz.

Ale ona nie odpowiadała nic. Coraz szybciej zbiegała. Wtem na załomie schodów uderzyła ją pochodni jasność; zapierali jej drogę Dobiesław i pan z Goraja, dźwigający rannego Przeclawa.

Na widok nieubłaganych strażników swoich zawrzał w Jadwidze srogi gniew.

— Puście mnie! — krzyknęła — puście! Jako królowa wasza rozkazuję wam!

Stary Przeclaw otworzył oczy, dźwignął się o własnej mocy i na chwiejnych nogach stanął, o mur się wspierając.

A pan z Goraja na kolana przed Jadwigą padł:

— Miłościwa, ukochana Pani nasza! — zawołał: — na rany Pana Krystowe zaklinam Cię, nie czyni hańby królestwu swemu... Wstrzymaj się!

Ale Jadwiga słuchać nie chciała i postąpiła dalej, powtarzając z mocą:

— Nie! nie zdzierży mnie już nikt w niewoli waszej, nie!...

Dobiesław, sam już nie wiedząc co czyni, wobec takowego niebezpieczeństwa, krzyknął w dół ku straży:

— Zamknąć furtę!... bez mego rozkazu nie wyjdzie nikt!...

Dziki, szydreczy śmiech wydobył się z piersi Jadwigi:

— Cha! cha! Nawet ja, królowa!

— Nawet Ty, Najjaśniejsza Pani! — odparł z mocą pan z Kurozwęk.

A pan z Goraja ciągle na klęczkach, błagał.

W tym momencie wzrok Jadwigi padł na toporek, przez Bolka rzucony. Pochyliła się i podniosła go z ziemi.

— Toporem furtę rozwalę! — krzyknęła — jeśli mi opór stawicie! —

I dalej chciała biec. Ale tym razem wstrzymała ją słowa Przeclawa, który, wychylając ku niej swą krwią ociekłą, straszną twarz, ochryplym głosem, zawołał:

— Nie bierz topora tego, królowo! na nim jest krew... I nie idź dalej śladem tej krwi, która na kamieniach tych, przelana ojcobójczą ręką, stopy twe kala... Nie idź śladem tym...

Dopiero teraz widziała dobrze Jadwigę tę straszną, krwawą twarz, dopiero teraz spostrzegła na toporku i na drzewcu krew, która do jej dłoni przywarła.

Ze wstrętem odrzuciła broń. Stała i oparta plecami o mur, śmiertelnie blada, zdyszana, nie mogąc słowa przemówić, przerażenia pełnymi oczyma na rannego starca patrzyła.

On zaś powtarzał ciągle:

— Krawym śladem nie idź, królowo.

I stała się cisza. A potem pan z Goraja mówił błagalnie:

— Ten starzec w obronie czci Twojej ranny przez własnego syna... Zuchwały zamach taką zbrodnią przypieczętowany być musiał.

— Nie na mnie spada krew ta... nie na mnie!... — wyszeptala drżącymi ustami Jadwiga.

Tu zaś zabrał głos pan z Kurozwęk i rzekł:

— Tyś jest niewinna, królowo! Tyś jest umiłowana nasza i święta pani... Odkryję Ci teraz to, cośmy dotychczas tailli, by serca

twojego nie trwożyć... Dokąd chcesz iść?... Wilhelm rakuski obrony ci nie da... nie znajdziesz jej i na budzińskim zamku... skąd macierz Twoja, Najjaśniejsza Elżbieta królowa, i siostra umykać musiały i w dalekim warownem zamczysku chronić się przed pewną śmiercią... Z Neapolu nadbiegł Karol Durazzo, i korzystając z zamieszek, królem węgierskim koronować się kazał... Ale i ten już pono zamordowany jest...

— Och! och! — jęknęła Jadwiga.

A Przeclaw stary omdlałym głosem powtarzał:

— Nie idź śladem tym, królowo!...

Ona oprzytomniała niebawem.

Wstrząsnęła się tak, jak czyni ten, który brzemie wielkie z barków swych zrzucić chce, wyprostowała się i rzekła:

— Bóg niech czuwa nad biedną macierzą moją i siostrą!... Teraz zaś trzeba temu rannemu pomoc dać... Do komnat moich go wiedźcie... sama nad nim czuwać chcę...

Zmilkła i za moment dodała z mocą:

— Ostaję... Niech się spełni nie moja, lecz Tego wola, który w męczarniach na Krzyżu zmarł...

A gdy to mówiła, dziwna jasność spłynęła na jej bladą twarz.

Pochyliła się ku Dymitrowi z Goraja, który znów na kolana padł i z uniesieniem kraj sukni jej całował.

— Powstańcie, — rzekła z cicha — powstańcie! A nie czynicie żadnej przeszkody tym, którzy wolę moją pełnić chcieli.

Wskazała ręką Ziemowita i Gniewosza.

— Wolni są! — rzekł Dobiesław.

Jadwiga ruszyła się z miejsca i krokiem wolnym podążyła do komnat swoich, kędy zniesiono rannego i znów omdlałego Przeclawa.

Gniewosz z Dalewic wyszedł z zamku bardzo gniewny. Milczał, jeno kiedy niekiedy splotał i kłął.

A Ziemowit książę śmiał się i drwił.

— Ano — mówił — jest sprawiedliwość na świecie!... Przeczże rakuskiemu książęciu miało być lepiej, aniżeli mazowieckiemu? Pomnisz, Gniewoszu, gdy wnet po śmierci króla Loisa z hucem kopijników i wśród nich ukryty, do Krakowa po koronę i Jadwigę przybył? Ten sam pan Spytko, taki teraz na Wilhelma zażarty, i mnie wówczas do ucieczki zmusił... Jeno, że nie w koszu... cha! cha! cha!...

Tarł dłoń o dłoń i dorzucił:

— Jeszcze skóra od powrozów boli... ciężka bestya!... Ale sprawiedliwość jest!

— Ale co teraz czynić?... — spytał chmurno Gniewosz.

— Najlepiej nic... — odparł, ciągle szydząc, Ziemowit. — Najlepiej niech teraz za nas czyni krzyżacki Mistrz Zollner... On jeden Jagajłę w domu zatrzymać może... Wszakże rodzony brat Jagajły, Andrzejko, u niego siedzi i ciągle go podmawia, iżby go Wielkim Książęciem Litewskim uczynił. A Zollner obliżuje się, bo Andrzejko jest nie taki, jak Jagajło, i krzyżacką wolę kornie spełniać będzie, gdy Wielkim Książęciem zostanie... Jagajło zaś, gdy tu bez księstwa zjawi się, stanie się gorszym niż ja i niż rakuski Wilhelm, i ten sam pan Spytko znów z nim

wojować będzie i jeszcze gorzej niż nas wyrzuci precz... Cha! cha!

Od strony Rynku wyszedł teraz na przeciw nich oddział zbrojny straży miejskiej, wiodący trzech łotrzyków, którym kajdany z nóg zdjęto, jeno ręce powrozami na plecach skrepowano.

Ziemowit jeszcze głośniejszą poczęł się śmiać.

— Patrz-no, Gniewoszu — rzekł — idą najlepsze świadki zamieszkania Wilhelma z królową... Wypuszczeni z kbatów łotrzykowie *post nuptiarum Dominae Reginae consummationem*... cha! cha! I to już jest w księgę miejską na wiek wieków wpisane... cha! cha! Teraz ich za bramy miasta wywiodą i tam puszcza na swobodę, iżby świadczyli... cha! cha! cha!... Oni zaś cieszą się, chociaż nie wiedzą, jako teraz dopiero prawdziwymi złodziejami są, albowiem wolność swą ukradli!...

Rzeczywiście łotrzykowie owi byli weseli. Rozmawiali w głos i ręczo szli; zwłaszcza zaś jeden z nich, snadź najbardziej krotofilny, podśpiewywał ciągle:

Choć powróz mnie krępuje,
Lecz już dusza wolność czuje —
Hu! ha! ha!

Że królowa z królem mieszka,
To puścili rzezimieszka
Z ka-ba-ta!

I nagle z pełnej piersi krzyknął:

— Niech żyje królowa!... wiwat król!

Ziemowit nieledwie na ziemię kładł się ze śmiechu, a Gniewosz, zawsze chmurny rzekł:

— To jest piekielne szyderstwo...

I tak doszli do Mornsteinowej gospody.

V.

W głębokim smutku rozpoczął się dla Jadwigi rok Pański 1386. Już w samych jego początkach nadeszło potwierdzenie wieści o srogich zamieszkach na Węgrzech, o spisku przeciw królowej matce, która życia była niepewną, o objęciu węgierskiego tronu przez neapolitańskiego Karola Durazzo, a wreszcie o jego zamordowaniu. Królowa matka sama już teraz słała tajemnie posłów do Jadwigi, namawiając, iżby zgodziła się z wolą panów swej Rady i poślubiła mocnego litewskiego książęcia, z którym na żadne takie niebezpieczeństwo narażona nie będzie, jak siostra jej Marya w małżeństwie z zuchwałym a podstępym Luksemburczykiem Zygmuntom.

Przerażały Jadwigę te wieści i poselstwa, a niepewność o losy Wilhelma powiększała jeszcze tę trwogę. Wiedziała ona, że rakuski książę ukrywa się w Krakowie, albowiem raz jeszcze przybyła do niej owa pątniczka, która jej pierwsze od niego przyniosła poselstwo — i oznajmiła, że Wilhelm czeka na spełnienie obietnicy i że bez tej, którą za małżonkę swą uważa, granic Polski opuścić nie myśli. Raz znowu doniesiono jej, że napastnicy jacyś naszli w nocy na Mornsteinową gospodę; znaleźli kryjówkę książęcia, który z ich rąk zaledwie ujęć zdołał, utaiwszy się w kominie na belce. Sromota tych ciągłych ukrywań się i ucieczek, łącząc się z lękiem o życie Wilhelma, wzięła opór w sercu Jadwigi, a zarazem rzucała



Herb Warszawy Syrena, jako motyw ornamentacyjny.

cień na postać rakuskiego księcia i pozba-
wiała ją dawnego rycerskiego uroku. Do-
strzegli to od razu panowie Rady i z tem
większą usilnością poczęli przedstawiać ko-
rzyści w związku z Jagiełłą. Powrócili tym-
czasem posłowie z Litwy i poparli owe przed-
stawienia, sławiąc rycerski umysł i przymio-
ty a potęgę wielkiego litewskiego księcia.

Relacyi tej słuchała królowa w milczeniu, ale
już nie stało jej woli, aby oprzeć się wypra-
wieniu ostatnich posłów, którzy stanowczą
umowę z Jagiełłą zawrzeć mieli. W najbliż-
szem też otoczeniu zabrakło Jadwidze opar-
cia. Elżbietka, czy to namową rodzica, któ-
ry Wilhelmową porażkę za stanowczą uwa-
żał, skłoniona, czy też, że jej serce od czasu
biesiad franciszkańskich ku młodemu woje-
wodzie krakowskiemu przychylić się poczęło,
jawnie teraz wyznawała, iżby „sponsalia de
futuro“ w Hainburgu zawarte, zniweczone by-
ły. Biadała jeno, że Spytka widzieć nie mo-
że, albowiem ten, wierny danemu przyrzecze-
niu, nie ukazywał się na zamku. DCN

SYRENA JAKO MOTYW ORNAMENTACYJNY.

Aobec coraz to obszerniejszego pola, obejmo-
wanego za granicą przez tak zw. „sztukę
stosowaną,“ pewien zastój daje się odczuwać
u nas. Dostatecznie zaznaczyć, iż mo-
tyw tak wdzięczny jak „Syre-
na,“ herb m. Warszawy, dotych-
czas nie wyzyskany artystycz-
nie, w nieusprawiedliwionem
pozostaje zaniedbaniu. Mniej-
sza o powstanie i historię
przemian tego godła; mnie
idzie o sam fakt, iż bezkształt-
ność, bezstylowość do tej chwi-
li trwała, i piękna Syrena zawsze
pozostaje w niezmienniej, nie-
estetycznej pozie, z ogonem
śledzia, a co najważniejsza,
nigdy nie usiłowano jej przy-
stosować do „pola“ (architek-
toniczne pole), które ma wy-
pełniać (jako ornament).

Aby temu zaradzić, a przynajmniej wskazać
publiczności, co przy odrobinie dobrej woli z mo-
tywu tego zrobić można, w 1899 r. skomponowa-
łem załączone syreny.

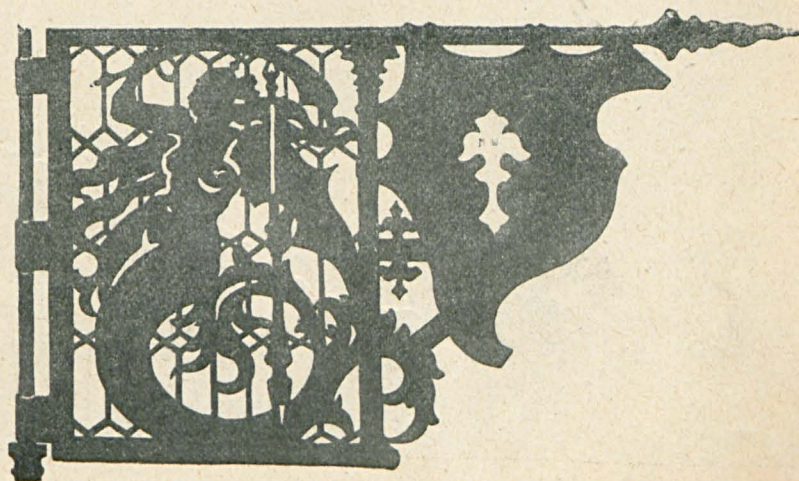
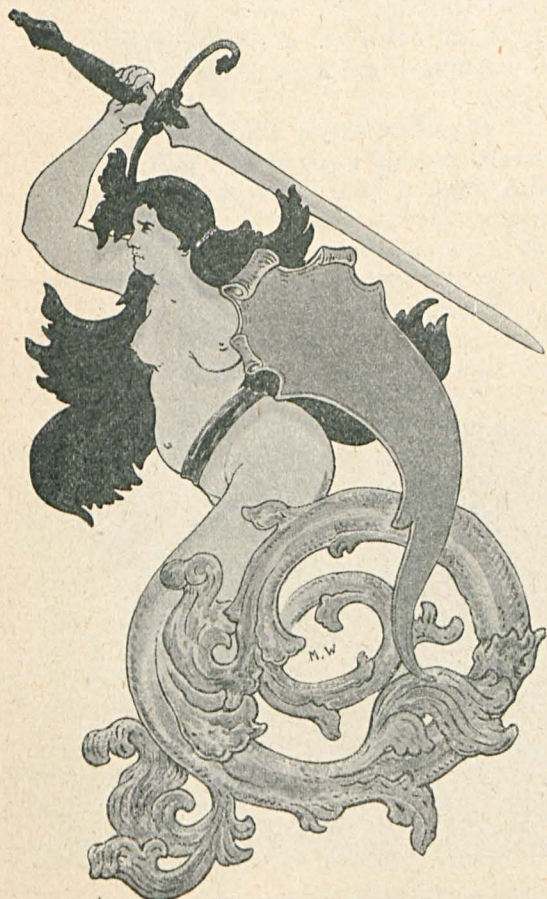
Przeznaczenie ich, jak sądziłem, miało być
na odznaki Towarzystw sportowych, na marki fa-
bryczne, chorągiewki do monumentalnych gma-
chów, a nawet na wozy miasta Warszawy (szablo-
ny do farby) i chorągiewki służby wodociągowej,
oraz kanalizacyjnej.

Czyż potrzeba dodawać, iż praca moja cał-
kiem nieuznana i nie zastosowana do tej chwili
pozostała?

A jednak za kopiowanie tych syren postano-
wiłem ani grosza od interesowanych nie żądać.

Wiem, iż usiłowania moje kwestyi nie roz-
wiązały; jednak sądziłem, iż twórczość panów ar-
tystów pobudzę w tym kierunku i wywołam
ogłoszenie konkursu na poprawny, stylizowany
herb m. Warszawy.

MARYAN WAWRZENIECKI
art. malarz



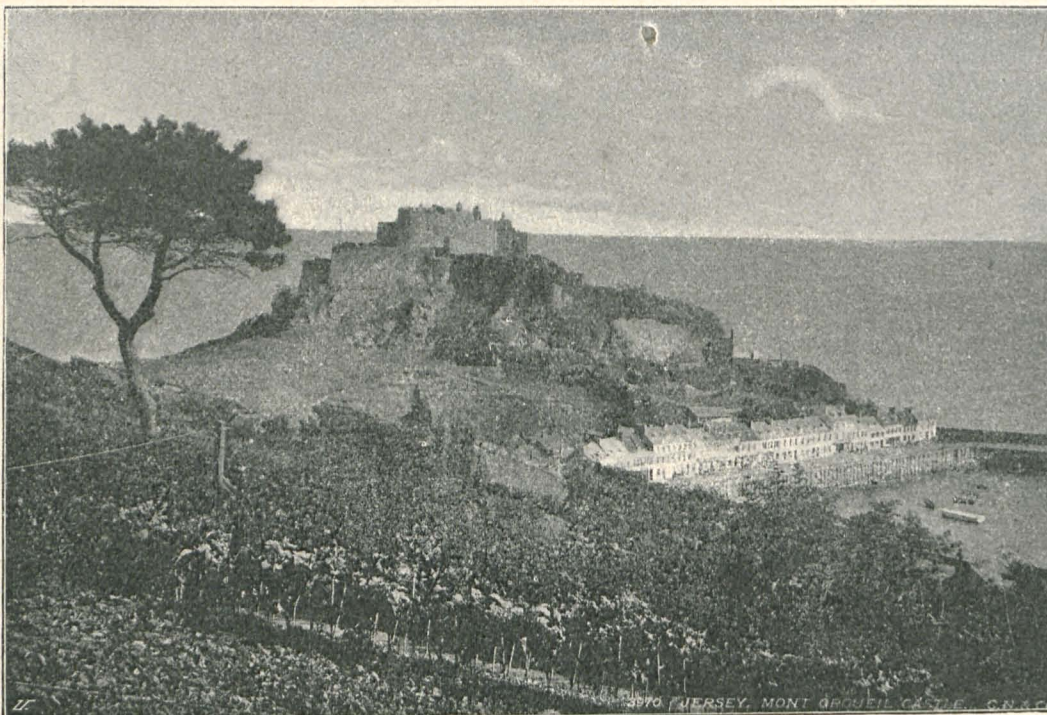
Caesaria-Jersey.



kilka godzin drogi statkiem od brzegów Francji leży archipelag sześciu wysp. W przeszłości, nie tak bardzo nawet oddalonych, wyspy te wchodziły w skład stałego lądu, a ten pas oddzielającej je wody był suchym pobrażem: świadczy o tem mapa tego zakątka, zrobiona za czasów Juliusza Cezara. Wyspa Jersey łączyła się bezpośrednio z półwyspem Cotentin międzymorzem, z którego dziś, prócz grupy skalistych wysepek Ecréhos, nie pozostało i śladu. Przez te wysepki biegł w owe czasy suchy gościniec na Jersey; dziś nagie, dzikie, bezludne, rzadko przez podróżnych odwiedzane, są przytulkiem ptactwa morskiego i raków. Dostęp do nich jest trudny z powodu gęstej sieci skał podwodnych, otaczających je ze wszech stron, i burzliwości fal, rozbijających się o nie. Na największej z tych małych granitowych przestrzeni znajdują się ruiny klasztoru z XIII stulecia. Przepyszne morze, dzikie skały i pustki głuche, rozbrzmiewające szumem wód i krakaniem ptactwa, dla dusz samotnych musiały mieć urok nieprzeparty.

Jersey jest największą w archipelagu wysp anglo-normandzkich. Dostęp do niej od strony Francji utrudniają liczne skały, rozsiane na dość znacznej przestrzeni. Duże statki muszą opływać je zdala, a małe z nadzwyczajną manewrować wśród nich ostrożnością. Są to naturalne reduty wyspy, nadzwyczaj silne fortyfikacje; pod ich strażą Anglia od czasów Wilhelma Zdobywcy żartuje sobie, że wszystkich zapędów Francji w celu odzyskania tego, z wielu względów należącego się jej kawałka ziemi.

Wyspa jest mała: dużym statkiem we trzy godziny opłynąć się daje dokoła. Od północy wysokie brzegi zasłaniają ją od zimnych wiatrów. Wśród skał, tworzących to wybrzeże, znajdują się piękne, malownicze groty, zalewane w czasie przypływu morza, lecz zupełnie dostępne po opadnię-



Wyspa Jersey: Zamek Mont Orgu. il.

ciu wody. Dno ich i ściany wyścielają oślizgłe, porostami i mchem (*asplenium marinum luxurians*) pokryte glazy, u wejścia bieleje piasek, naniesiony przez fale, w głębi panuje chłód, cień i cisza: wśród której każdy dźwięk jakimś dziwnie głębokim i potężnym odzywa się echem.

Najpiękniejsze groty znajdują się na przyładku Plemont.

Wnętrze wyspy tworzy widok nadzwyczaj urozmaicony. Jest to taras, łagodną względnie pochyłością zbiegający ku południowi, cały porośły drzewami, gdzie, jak w parku, żyją razem przedstawiciele wszystkich stref: obok palm i magnolii o przepysznym białym kwieciu—dęby, buki, jesiony, nawet sosny, choć tym ostatnim obco tu jakoś i nieswojo: wyglądają jak kopciuszki, którym nie marzyło się nigdy o królewicu—wybawcy. Wszystkie rzeki i strumienie, licznie przerzynające wyspę, płyną w kierunku południowym; mnóstwo dróg, przepyszenie utrzymanych, biegnie we wsze strony; na zakrętach czatują niespodzianki: sielskie widoki spokojnego, łagodnego wdzięku lub dalekie perspektywy na morze, usiane skałami, błękitne jak niebo i gładkie, jak

toń jeziora, czasami mieniące się wszystkimi barwami opalu, to znów szare, posępne, martwo i mrukliwie rozbijające się o skały.

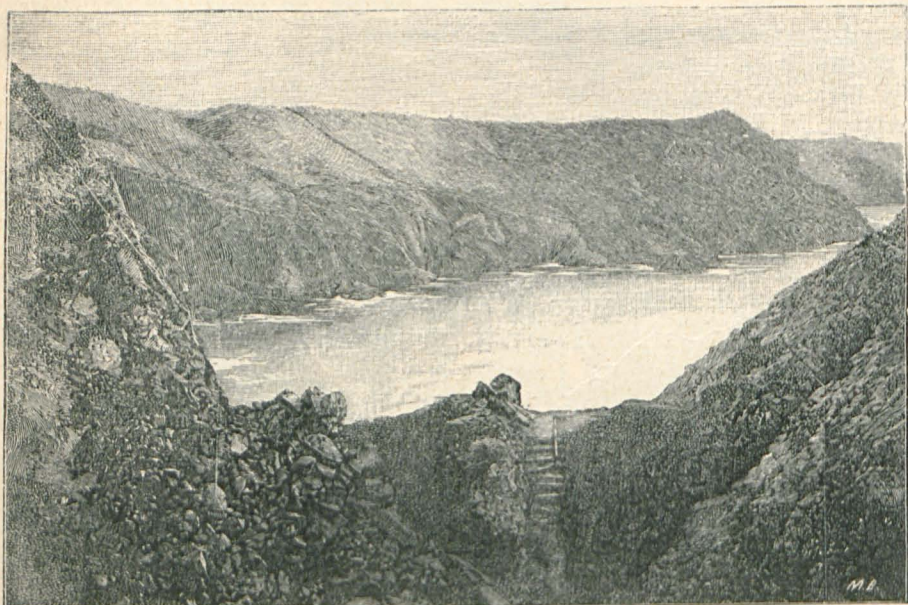
Na jednym krańcu wyspy wznosi się starożytny zamek, główna ozdoba jej i duma; na drugim, przeciwnym—piękna latarnia morska, co wieczór płonąca światłem błyskawicznym; od jednego do drugiego biegnie wzdłuż wybrzeża południowego jedyna na wyspie linia drogi żelaznej.

Zamek Mont Orgueil stoi na skale porfirowej na 310 stóp nad poziomem morza. Pierwsze fortyfikacje w tem miejscu rzucone były podobno ręką Juliusza Cezara, który, zasłyszawszy o małej, bezludnej wyspie, w niewielkiej odległości od brzegu, przeprawił się na nią w wątej łodzi z łoża, obciążonej skórą, pierwszy tu zamieszkał i, jak

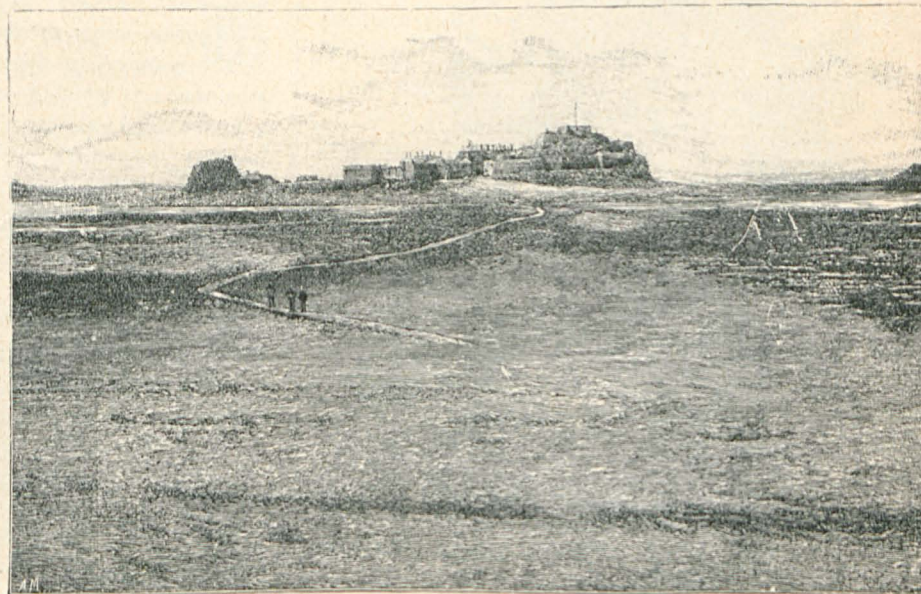
twierdzi podanie, nadał jej nazwę Caesaria, która z biegiem czasu przekształciła się w Jersey. Jest kilka miejsc na wyspie, posiadających tradycję i ślady budowli rzymskich. Zamek Mont Orgueil zaczęli budować książęta normandzcy, a dokończyli spadkobiercy ich, królowie angielscy. Musiała to być silna forteca, kiedy Bertrand du Guesclin nie mógł jej zdobyć na czele 10,000 najpiękniejszego rycerstwa Francji. Od strony morza bronią go skały podwodne, a prostopadła ściana porfirowego podnóża, na którego szczycie hardo trzyma się zamek, dostępna jest tylko dla fal; od strony lądu do wnętrza dostać się łatwo.

Mont Orgueil, pierwotnie mieszkanie gubernatora wyspy, nie ma dziś żadnego znaczenia strategicznego; nie pozwalają mu rozpaść się w gruzy, bo jest pięknym zabytkiem średniowiecznej architektury, ale wejście do niego stoi dla wszystkich otworem. Z murów zamku otwiera się przepyszny widok na morze i dalekie brzegi Francji.

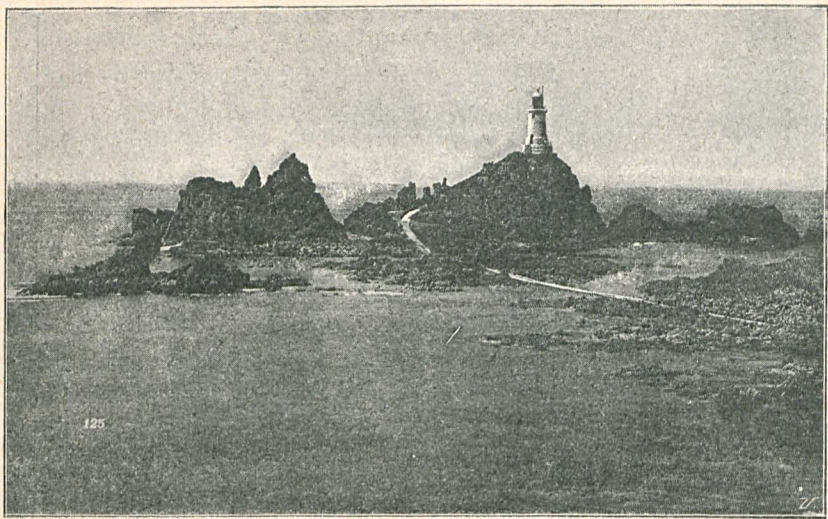
W przeciwnym końcu wyspy wzniesiona latarnię otaczają nagie skały i pustka prawie bezludna. Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków



Groty Plemontu, Dyabelska dziura.



Zamek królowej Elżbiety na Jersey.



Jersey: Latarnia morska.

kraju. Zachód słońca, oglądany z Corbière, sprawia wrażenie niczem nie dające się opisać. Cała okolica ma charakter nigdzie na wyspie nie widzianej dzikości: bezdrzewna, jałowcem porośnięta przez słońce wypalona, zdaje się dyszeć jakimś niewymówionym, wstrząsającym słowem. Legenda głosi, że był to niegdyś najżyźniejszy zakątek ziemi, ale gniew Boży zamienił go w pustynię, a stało się to w następujący sposób: pięć obcych statków burza zagnała na brzegi; z tych cztery zatонуły razem z załogą, jeden tylko ocalał; mieszkańcy wybrzeża nie ulitowali się doli nieszczęśliwych rozbitków: złupili i zrabowali ich do szczytu, a gdy przytem za grzech swój pokutować nie chcieli, Pan zesłał na nich straszne wichry, które tumanami piasku zasypały wybrzeże.

Miast we właściwym tego słowa znaczeniu na wyspie niema; St. Aubin i St. Hélier, które noszą tę nazwę, mają porządne ulice, wspaniałe sklepy, gdzie dostać można wszystkiego, ale są tak małe, że pieszo w przeciągu 20 minut przejść je można, z końca w koniec. Oba siadły u południowego wybrzeża, gdzie wogóle skupiło się i najwyższem bije tętnem życie społeczne wyspy. St. Hélier uważana jest przytem za stolicę kraju. Ma spory, wygodny port i cytadelę—strażnicę groźną i ponurą, którą na skale w głębi zatoki, dokoła której legło miasto, kazala zbudować królowa Elżbieta. Do tej warowni dostać się trudno: w czasie odpływu—piaski ruchome, jak toń bezdenna, niebezpieczne.

Podanie głosi, że na tej skale w czasach przedchrześcijańskich, w celce, wykutej w granicie i do dziś dnia pokazywanej turystom, zamieszkiwał święty człowiek, imieniem Hélier, który dzięki ludność wyspy uczył wiary i pracy na roli, a zginął zamordowany przez korsarzy skandynawskich. Skala, na której znajdowała się pustelnia, nie leżała wówczas w głębi zatoki: ze stałym lądem wyspy łączył ją pas ziemi zielonej i żyznej, gdy jednak mordercy, którzy należeli do drużyny Rollona, uszli bezkarnie, a potomkowie ich w świeżo zdobytej ojczyźnie Normandy z pokolenia w pokolenie rośli w znaczenie i dostatki, rozgniewany duch Świętego zatopił ląkę i skalę odciał wodą od lądu, a ród naczelnika tej zbójczej wyprawy dotknął tak wstrętnym zezem, że żadna dziewczka z tego domu nie mogła dostać męża, a synom trudno było znaleźć żony.

Pierwotna ludność wyspy musiała być pochodzenia celtyckiego, jak przypuszczać można ze szczątków dolmenów i różnych pomników druidycznych, rozrzuconych po wyspie; dzisiejsza jest już rasą mieszaną o typie przeważnie francuskim i mowie francuskiej. Jersejanin jest z natury spokojny, wstrzemięźliwy i niezwykle pracowity; głównem jego zatrudnieniem rolnictwo, które od pewnego czasu ograniczyło się prawie wyłącznie

uprawą kartofli. Trzy zbiory rocznie daje wyspa, a wszystkie zabiera Anglia i płaci za nie sowicie. Zakładów przemysłowych tu niema, ale za to hodują dużo pięknego bydła. Przed laty istniały na Jersey przepyszne winnice i rozległe plantacje drzew owocowych, ale ustąpić musiały popłatniejszym kartoflom.

Historyczna przeszłość wyspy zamknięta jest prawie zupełnie w dziejach kilku rodów feudalnych i ściśle zjednoczona z losami Anglii od czasów Wilhelma Zdobywcy. Z owej przeszłości feudalnej do dziś dnia przechowały się na Jersey niektóre wspomnienia. Jednym z takich jest zwyczaj składania królowej Wiktorii, reprezentowanej przez gubernatora, holdu lenniczego dwa razy na rok na zgromadzeniach ogólnych; drugim—tak zwany „droit de jambage“, podatek 1½ pena (około 6 kop.), wypłacany do skarbu dóbr koronnych, na rzecz starej królowej, przez każdą parę młodą, stającą na ślubnym kobiercu.

Wyspa ma zupełną autonomię: własny parlament i własne sądy, bez apelacji; podatków nie płaci Anglii żadnych: wydatki na utrzymanie fortecy i reprezentacji państwowej płaci skarb W. Brytanii. Sprawiedliwość na Jersey ma oblicze uśmiechnięte i dobrodusze; łagodne obyczaje ludności starły z niego wyraz surowości. Istnieje też ładny i bardzo stary zwyczaj, sięgający czasów Rollona skandynawskiego, zwany „clameur de Haro“, panujący niegdyś podobno w całej Normandii. Wedle tego zwyczaju, człowiek zagrożony w swej własności, nie mając czasu lub nie mogąc sprawiedliwości uzyskać, przez trzykrotny okrzyk: „Haro! (ha, Rou!—Rollon) Haro! Haro! à l'aide, mon prince!“—czyni tę własność nietykalną.

Gdy w 1870 r. budowano kolej, rząd przeprowadził linię przez ziemię jednego z właścicieli wbrew jego woli; w dzień puszczenia pierwszego pociągu człowiek ten ukląkł na torze przed nadjeżdżającym parowozem i trzykrotnie powtórzył okrzyk: „Haro!“ Pociąg zatrzymano, a linię następnie z wielkim kosztem przeniesiono gdzieindziej.

Wiktor Hugo, wygnany z Francji, mieszkał jakiś czas na Jersey, nim się przeniósł na Guernsey. Dom, który zajmował, stoi nad samym brzegiem morza; z okien sypialni otwiera się piękny widok na zatokę St. Clement, usianą skałami, wynurzającymi się z pośród fal. Tędy przechodzą statki, idące do Francji, w tym więc kierunku biegły myśli i oczy wygnanca. Nie gościł tu jednak długo: naraższy się Jersejanom niepowściągliwością obyczajów, języka i pióra, musiał opuścić wyspę i przeniósł się na Guernsey.

P. SIEROSZEWSKA.

Nasze ryciny.

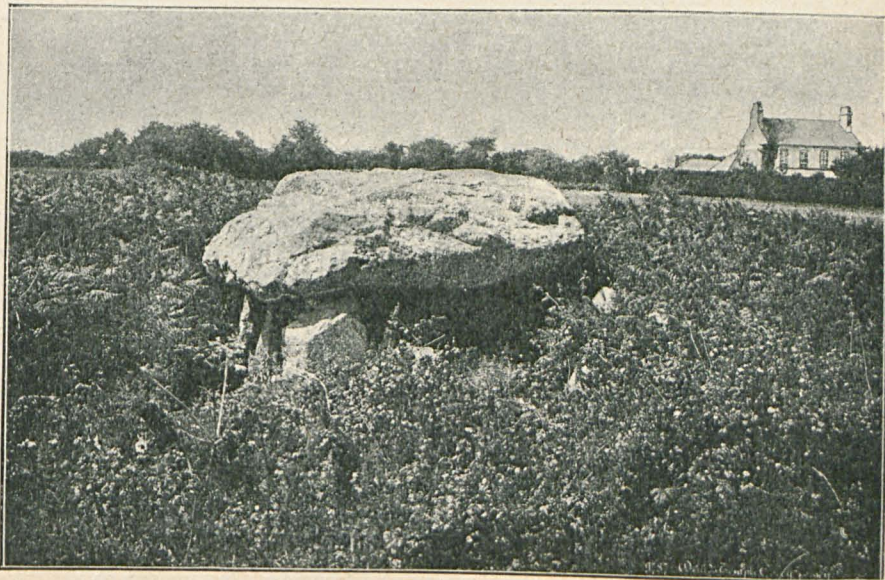
*

Rodin: *Bulzac. Myśl*. Na czele numeru damy portret najslawniejszego dzisiaj rzeźbiarza francuskiego Rodina, którego Balzac—widoczny w głębi obrazu—wywołał kilka lat temu burzę w świecie artystycznym, burzę, zakończoną dzisiaj tryumfem artysty. Obszerną charakterystykę Rodina znajdują czytelnicy w studium p. Antoniego Potockiego „Sztuka na wystawie“, zamieszczonem w numerze dzisiejszym. Drugie dzieło Rodina, reprodukowane przez „Tygodnik“ wyobraża „Myśl“, wyłaniająca się z chaosu materii.

L. Boilestieri: *Trilby*. Podobizna obrazu, który na wystawie paryskiej zwrócił uwagę powszechną, przedstawia scenę ze słynnego romansu Du Mauriera p. t. „Trilby“. Trilby była modelką, obdarzoną niezwykle piękną i przedudownym głosem, ale pozbawioną słuchu. Po wielu przejściach życiowych dostała się w ręce niemieckiego muzyka magnetyzera, który, pragnąc wyzyskać jej głos, hipnotyzował dziewczynę i uczył ją we śnie ary, które czarowała słuchaczy. Obraz wyobraża pracownię malarzką, w której grupa artystów pospolu z piękną Trilby przysłuchuje się grze owego muzyka hipnotyzera, oraz jego ucznia.

Jerzy Schuster-Woldan: *Largo*. Schuster-Woldan należy do neo-romantyków. Neo-romantyzm jest do pewnego stopnia synonimem modernizmu, jeżeli jednak nazywamy Schuster-Woldana neo-romantykiem, to więcej ze względu na tematy, niżeli na sposób ich traktowania. Idzie on tą samą drogą, po której szli w poezji niemieckiej Tieck, Arnim i Brentano, a w malarstwie Moritz Schwind, którego „Rübezahla“ daliśmy niedawno w „Tygodniku“. Woldan przebywa również najchętniej w sferze niemieckich baśni ludowych i dziecinnych. Maluje „Wiernego Eckarta“, „Świętego Mikołaja z gwiazdką“, „Bajkę o ludożercy“ i t. p. Niekiedy jednak wychodzi z atmosfery baśni i tworzy symboliczne symfonie barw, jak reproduowane w Nrze niniejszym „Largo“. Artysta uzmysłowił tutaj w szlachetnej postaci niewieściej tęsknotę do szerokich, rozległych horyzontów uczucia i myśli. Tytuł „Largo“, zaczerpnięty ze słownictwa muzycznego, zaznacza, że malarzowi szło o wywołanie nastroju analogicznego do tych, jakie w duszy słuchacza budzą ustępy symfonii muzycznych, trzymane w tempie poważnem, szerokiem, uroczystem. Dążenie do przenoszenia efektów jednej gałęzi sztuki do drugiej do łączenia poezji z malarstwem i muzyką, oraz vice-versa stanowi jedną z cech charakterystycznych sztuki nowoczesnej.

✱



Jersey: Druids temple Gorcy.

W IMIĘ MARYI.

Nastroje wieczorne z pielgrzymki do Częstochowy.



„My jesteśmy pielgrzymami,
Nieba pragnącymi...”

Widziałem ich, gdy wieczór rzucał tony ciemne na przyrodę senną: na las, chylący ramiona swoje ponad drogę szarą, na łąki szmaragdowe, błyszczące perłami rosy i na niebo seledynowe, mroczne ponad lasem niebotycznym, a coraz świetlejsze nad łąkami dalekimi...

Z boku—zachód resztką purpury dnia cicho opromieniał drogę nadchodzącej nocy.

Wietrzyk nie ruszał gałązką drzew, ani budził trawy zdrzemniętej, nie zakłócał spokoju wieczora...

Było tak cicho, iż zdawało się, że gdyby rosa upadła na ziemię, powstałby dźwięk... Było tak cicho, iż na serce mogła spłynąć tęsknota ku czemuś nieznanemu, mistycznemu...

I nagle, na drodze szarej, na tle boru, niby ostatnia kreska na obrazie, ukazała się garstka ludzi, śpiesząca powoli ku łąkom.

Piers poczuła ukojenie, oko poczuło łzę: przestrzeń wieczorna rozbrzmiała nagle przecudną daleką pieśnią:

Po górach, dolinach, rozlega się dzwon,
Anielskie witanie głosi ludziom on.

Aż wreszcie we święto tak radosne nam
Gabryel zwiastuje, że Bóg znijdzie sam.

O, Gwiazdo najświętsza, wiedz nas w niebios
[kraj,
Gdzie wieczną szczęśliwość, Ty, Boże, nam
[daj!...

Ave! ave! ave, Maryjo!
Witaj, witaj, święta lilijo!

* * *

Widziałem ich, gdy biła północ...

— Bracia, wstawajcie!... Czas do drogi:
w imię Maryi wstawajcie!...

Mrok oślepiał, strugi dżdżyste bieżami mokrymi smagały lice...

Wicher huczał po niwach i rżyskach, wył, szalał, świstał...

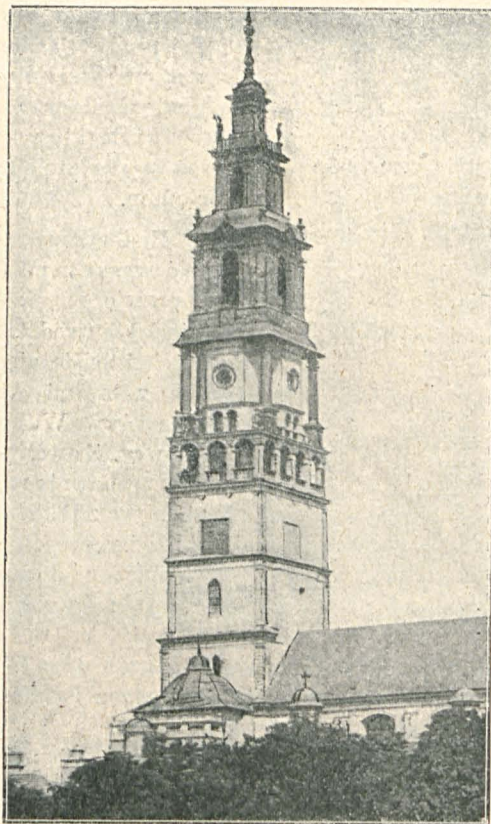
Szli omackiem, grupami, brnąc w błocie i mroku. Czasami tylko gdzieś niegdzie błysnęła latarka...

Nagle błyskawica rozdarła upusty niebios, grom zagrzmiął.

Jakiż to szłał święty, jakiż to zapał opromienia ich czoła, rozjaśnia oczy pogodą, rozwidnia serca, gdy blaskom błyskawic, hukowi gro-

mów, wichrom, zdającym się uragać z wysiłku słabych—gdy tym mocom żywiołowym, strasznym, rozkiełzanym—przeciwstawiają pieśń cudną:

Po górach, dolinach, rozlega się dzwon,
Anielskie witanie ludziom głosi on!...



Wieża klasztoru Jasnogórskiego przed pożarem.

Szaleńcy, stójcie!... Za chwilę żywioty będą łaskawsze, a teraz—stójcie!...

Niebaczn!... nie ich zatrzymać nie może...
Ktoś tam krzyknął, zachwiał się, runął w przepaść...
Boże!... krew! Zabity starzec!...

Gdzie tam!...

Zrywa się, i tak, zlany krwi własnej posoką, biegnie dalej, aby dalej—w imię Maryi.

O, Gwiazdo Najświętsza, wiedz nas w nie-
[bios kraj,

Gdzie wieczną szczęśliwość, ty, Boże, nam daj!...

Ave, ave, ave, Maryjo!

Witaj, witaj, święta lilijo!...

* * *

Widziałem ich, gdy padali na kolana, ujrzawszy w oddali wieżę Jasnogórską.

Nad nimi wschodziły gwiazdy jasne, nad nimi szumiały rozgwarzone drzewa...

Co chwila, pieśń cudną, lecącą w przestrzeń nieobjętą nieczem, niezmierzoną nieczem, przerywał cichy, spazmatyczny płacz...

O, bo tam—w tej dali nieobjętej—są źródła bogactw nigdy nieprzebranych; jest to wszystko, co wśród rozterki życia daje spokój, wytrwanie, siłę: jest ideał miłości...

A tutaj, zbiegają się ci wszyscy, którzy mają swoje chwile kainowej rozpacz, swoje chwile tęsknoty bezbrzeżnej, swoje chwile pragnienia, wylania tych łez, co nurtują w przepastnych głębiach ducha, swoje chwile żądz, ukojenia, cierpienia nadmiernych i nadmiernych bólów istnienia...

Zbiegają się te wszystkie paryasy, te wszystkie rozbitki życia, których nawa została strząskana, a z których całego mienia pozostało to tylko, do czego wznoszą serca, wyciągają ramiona... O, bo tutaj, gdy wśród zmierzchu wieczora oko profana nie może plondrować wyrazu cudzych bólów i myśli, naocześnie rozwierają się serca, i płynnie z nich pieśń, i płyną z nich łzy—serdeczne, łzy ukojenia...

* * *

Widziałem ich w onej chwili strasznej...

Wieczór, jak niegdyś otula ziemię seledynowymi barwy; zachód, jak niegdyś, resztką purpury dnia opromienia drogę nocy...

Z oddali płyną chorągwie, ciągnie łuna światła; dymy kadzideł i ogni różnobarwnych tulą się do murów świątyni...

Zdawało się, iż cała Jasna Góra z wolna ustawicznie wznosi się ku niebu, a na ziemię zstępuje cisza bezgraniczna, błogość niewysłowna...

Zdawało się, że na ziemię zstępuje jedno tylko pragnienie, aby taka chwila ciszy, rozanielenia, seledynowych blasków trwała jak najdłużej, wiekuiście... I traciło się rachubę czasu, świadomość wrażeń...

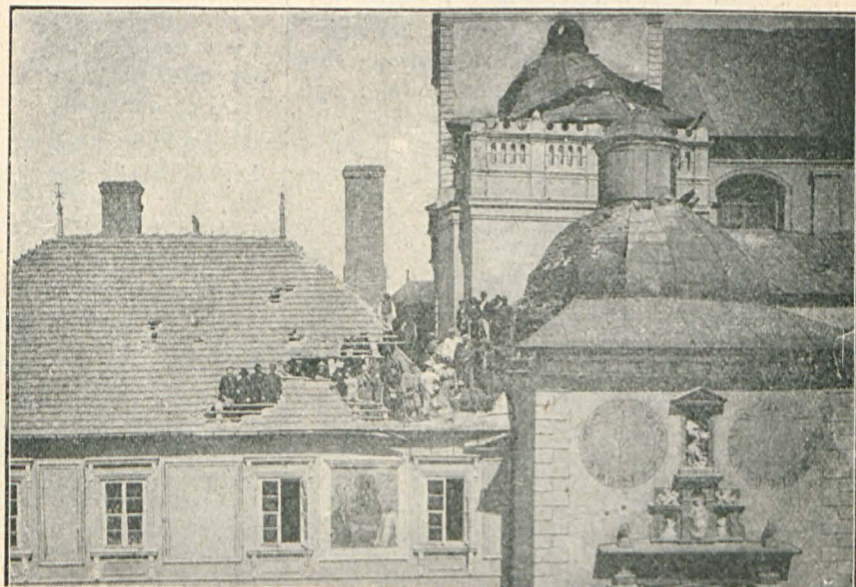
Wtem rozległ się jęk straszliwy, tytaniczny, jęk zrozpaczonych serc tłumu... tysiące ludzi padały na kolana, tarzały się w prochu, w atakach nerwowych rwały włosy, wymawiały słowa bez ładu, lub bolesnym płaczem błagały o pomoc.

Bo tam, ponad tłumem jęków, niby gromnica wzniesiona wysoko, paliła się jasno, płomieniem równym, bezdymnym—Jasna Góra.

I nagle z chaosu uczuć: obawy, żalu, bólu i tęsknoty, wśród tej mgły nocnej, błyszczącej spokojnie gwiazdami nieba, w gwarze dzwonów, brzęących ponuro, monotennie na trwożę, wśród rżenia koni, turkotu wozów, nawoływań biegnących na ratunek, wypłynęła majestatyczna pieśń starodawna:



Część wieży po odpadnięciu wierzchołka i filarów drewnianych.



Widok kopuł i dachu nad pokojami królewskimi po upadku wieży.

Fot. Dietrycha.

Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmier-
[telny,

Zmiłuj się nad nami...

— Ulituj się, ulituj!—wołano—O, Maryo na-
sza, pocieszycielko nasza...

Wreszcie wszyscy, kto żyw: kobiety wiej-
skie w zapaskach, włościanie w sukmanach dłu-
gich, czarnych z Wielopolski, Mazury w pasach
czerwonych, mieszczanie różnych stanów, dzieci,
starcy, zdrowi i chorzy, szlochając, łamiąc dłonie,
z wiadrem, konwią, bosakiem, zaprzęgały się do
wozów—wszyscy biegli na ratunek w imię Maryi...

Za chwilę świt uśmiech łaskawszy rzucił na
szarą, przygnębiającą ziemię, spokój w oczach po-
wrócił do serc zatrwożonych...

Cudny był ranek... Cisza anielska kołysze
duszę... Uśmiech zamienia mroki obłędu...

I brzmi pieśń, cicha i cudna, jak to niebo
błękitne, pełna otuchy i wesela:

Po górach, dolinach, rozlega się dzwon,

Anielskie witanie ludziom głosi on,

Ave! ave! ave, Maryjo!

Witaj, witaj, święta lilijo!...

* * *

Widziałem... a czoło moje omracza zaduma,
gdy pomyślę o tym kulcie odrębnym, gdy wspom-
nę o tych dniach zapału, radości i łzach rozpacz-
y w imię Maryi.

TEODOR SZABŁOWSKI.



Pozostała część murowana wieży z tłąciami się jeszcze u góry dwoma słupami.

Fot. Dietrych.

Kronika powszechna.

„Quo vadis“ na scenie.

Jak wiadomo, aktor i autor drama-
tyczny angielski, Barrett, przerobił ro-
mans Sienkiewicza „Quo vadis“ na
dramat i prawo własności tej prze-
róbki na Królestwo Polskie przelał
na Kasę literacką. Od Kasy literac-
kiej nabył to prawo dyrektor Wode-

wilu, p. Dobrzański, który, nie szczędząc
kosztów, wystawił „Quo vadis“ na
scenie swego teatru z wielkim powo-
dzeniem. Rzecz prosta, że zamknięcie
akcji olbrzymiego romansu w ciasne
ramy dramatyczne nie mogło się obyć
bez znacznych skróceń i przeróbek,
ale sztuka mimo to sprawia dobre wra-

żenie, i przyznać należy, iż odegrana
została doskonale. Załączona rycina
wystawia grupę wykonawców drama-
tu, którzy przeważnie wywiąza-
li się ze swego zadania bardzo dobrze. Dy-
rekcyja również nie szczędziła kosztów,
a reżyserja starała się, żeby wido-
wisko uczynić pięknym i zajmującym.

Ochotnicze straże ogniowe w Galicyi.

W dniach 5 i 6
sierpnia odbył się
we Lwowie zjazd
delegatów ochot-
niczych straży po-
żarnych. Dla kraju
tak ubogiego, a
tak często niszczo-
nego pożarami,
jak Galicya, kwe-
stya straży pożar-
nych jest rzeczą
pierwszorzędnej
wagi. Tymczasem
do r. 1864 nie by-
ło w Galicyi ani
jednej ochotniczej
straży ogniowej.
Dopiero w r. 1865
myśl zorganizowa-
nia tych straży
podniósł p. Adam
hr. Potocki w kra-
kowskiem Towar-
zystwie wzajem-
nych ubezpieczeń.
Naprzód zawiąza-
no straż taką (za-
raz w r. 1865) w
Krakowie, potem

w Gródku, w Tarnowie, we Lwo-
wie w r. 1868, i t. d. W roku 1875
utworzono związek krajowy wszystkich
ochotniczych straży pożarnych, a fakt
ten przyczynił się znakomicie tak do
powstawania nowych straży, jak też do
wprowadzenia jednolitej ich organiza-
cji, zaopatrzenia ich w wyborowe przy-
rządy do gaszenia ognia, wyćwiczenia
ochotników, zapewnienia im rozmaitych
korzyści. Tegoroczny zjazd delegatów
straży, należących do związku, był za-
razem zjazdem jubileuszowym, bo mi-
nęło właśnie 25 lat od utworzenia
związku. Dzisiaj jest w Galicyi razem
Towarzystw ochotniczych straży pożar-
nych 391, które mają czynnych człon-
ków 9,183; innych organizacji pożar-
nych jest 1,313, mających czynnych
członków 80,185, razem przeto 1704
straży, mających 89,368 członków czyn-
nych, nie licząc wspierających i hono-
rowych. Na czele związku stoi już od
r. 1883 książę Adam Sapieha; wice-
prezesem jest d-r Alfred Zgórski, któ-
rego kilkadziesiąt straży mianowało
świeżo członkiem honorowym; sekre-
tarzem generalnym związku jest Hen-
ryk Rewakowicz. Wszyscy trzej są
bardzo około pożytecznej tej instytu-
cji zasłużeni, wszystkich też obecnie
znowu jednomyślnie na dalszych lat
trzy wybrano. Dokonano także wybo-
ru członków Rady nadzorczej związku.
Ze zjazdem połączona była wystawa
przyrządów do gaszenia pożarów.
Z okazji zjazdu i jubileuszu wydano
starannie zredagowaną książkę, poświę-
coną 25-letniej działalności związku.

ab.



Widok dziedzińca przy wieży nad ranem, po stłumieniu pożaru.

Fot. Dietrych.

Polityka.

Faktyczny stan wypadków chińskich nareszcie wyjaśnił się nieco. Wojska związkowe mocarstw, po kilku zwycięskich bitwach opanowały Pekin i oswobodziły posłów oraz cudzoziemców, pozostałych przy życiu. To jest fakt pewny, ale w chwili, gdy piszemy ten przegląd, jeszcze dokładnych sprawozdań urzędowych, któreby rozstrzygały wątpliwość co do pobytu cesarza chińskiego, cesarzowej regentki, ks. Tuana i t. d. Depesze są na tym punkcie sprzeczne. Jedne twierdzą, że cesarzowa znajduje się w pałacu w Pekinie, wokoło którego wojsko chińskie na warownych wałach stawia jeszcze opór; według innych źródeł, cesarz, cesarzowa, Tuan i cały dwór znajduje się w drodze do nowej stolicy, którą ma być Hsi-an-fu, inaczej Singan albo Sian, odległe od Pekinu o 1.000 kilom. w kierunku południowo-zachodnim. Zdaje się, że kampania militarna jest na teraz skończona, i następują układy, ale nie określonego w tym względzie niema. Charakterystyczne jest, co o dalszych zadaniach powiedział w mowie publicznej francuski minister spraw zagranicznych. „Bez przesady można twierdzić, — mówi p. Delcassé — że byłoby niebezpiecznym tać poważne i groźne znaczenie kwestyi chińskiej. Mocarstwa, aby dojść do zadowalającego rezultatu, muszą przede wszystkim wiedzieć, czego chcą, muszą chcieć tylko tego, coby nie naraziło ogólnego porozumienia, i muszą tę świadomość i tę wolę utrzymać do końca. Głos sumienia całego świata wskazał im jako najbliższe i główne zadanie — oswobodzenie posłów. Ten cel jest obecnie osiągnięty. Obecność wojsk związkowych w Pekinie służyć ma na to, ażeby osiągnąć zadosyćuczynienie za przeszłość i rękojmię na przyszłość, bez względu na to, jakieby odrębne poglądy w tym względzie różne państwa mieć mogły. Mówca sądzi, że mocarstwa zastosują żądania do skali możliwości i będą się wystrzegały stawiania oddzielnych pretensyi. Zniszczyłoby to jedność, wzbudziło nieufność i wytworzyło groźne nieporozumienia. Tymczasem wszyscy traktują sprawę, jakby zanosilo się na wielką wojnę. Wojska różnych państw ciągną do Chin,



Hr. Waldersee.

a wybrany na głównodowodzącego feldmarszałek Waldersee dopiero dnia 20 b. m. wyruszył ze sztabem swoim z Berlina w drogę do Chin. Na pożegnanie marszałka, cesarz Wilhelm powiedział mowę, której główny ustęp

jest taki: „Kochany hr. Waldersee! wyrażam panu życzenia, witając cię dziś jako wodza zjednoczonych wojsk cywilizowanego świata! Jest to fakt wysokiego znaczenia, że nominacja pańska miała za punkt wyjścia zachętę i życzenie Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rosyi,



Król Wiktor Emanuel III, podpisujący akt przysięgi na konstytucję.

potężnego Władcy, który daleko, aż w głąb wschodnio-azyatyckich krajów władzę Swoją uczuć daje. Wskazuje to ponownie, jak ściśle łączą się stare tradycje broni obu Cesarstw: winiszuję przeto panu, że za zachętą Jego Cesarskiej Mości cały świat cywilizowany, bez różnicy, z wolnego popędu, powierza oto waszej ekscelencji dowództwo nad swoimi wojskami.“

Kroniczka fotograficzna.

Zarząd wszechświatowej wystawy w Paryżu podaje do wiadomości osób interesowanych warunki wykonywania zdjęć na wystawie, zarówno przez pp. fotografów zawodowców, jak i amatorów. Aparaty rewolwerowe mogą być używane na wystawie bez żadnych ograniczeń, o każdej porze dnia i bez opłaty. Aparaty na statywach mogą być natomiast używane tylko do 1-szej godz. po południu, za pozwoleniem głównego komisarza wystawy i opłatą: za jedno użycie aparatu—25 franków; za używanie dowolne aparatu podczas trwania wystawy—1000 franków. Prócz tego zwykła opłata wejścia pobierana bywa osobno. Zdejmujący wystawione okazy szczegółowo powinni wyjednać zezwolenie wystawcy okazu, zdejmujący zaś pawilony państwowe—pozwolenie odpowiedniego państwa.

Wydział V Cesarskiego rosyjskiego towarzystwa techników ogłasza konkurs na prace fotograficzne, zarówno dla pp. fotografów, jak i amatorów. Prace przedstawione powinny być wykonane w latach 1899—1900. Wielkość fotografii oryginalnych, lub powiększeń od $\frac{1}{12}$ do $\frac{1}{24}$. Termin przysyłania prac do 15 grudnia 1900 r. st. stylu. Najlepsze prace będą nagrodzone złotymi medalami i przejdą na własność towa-

rzystwa. Bliższych szczegółów udziela biuro zarządu.

45-ta fotograficzna wystawa angielskiego królewskiego towarzystwa fotograficznego będzie otwarta na Regent Street 121, New Galery, London W, od 1 października do 1 listopada r. b. Szczegółów udziela sekretarz towa-

scowych sprawozdawców, pisano o Chopinie stosunkowo bardzo mało.

W Lipsku u Breitkopfa i Haertla wychodzą obecnie listy Hansa von Bülow, wydawane przez siostrę wielkiego muzyka. Niedawno ukazał się tom czwarty, zawierający prócz innych rzeczy, wielce oryginalną co do treści i formy wymianę korespondencji między znanym muzykiem a głośnym dziś filozofem, Nietzschem. Ten ostatni, jak okazuje się z listów, miał manię komponowania i przysłał Bülowowi do oceny utwór swój „Medytacje Manfreda.“ Wielki muzyk nazwał pracę tę „mieszaniną nonsensów fantastycznych i rzeczy najbardziej brzydkich, niemuzycznych, jakie spotkać można pod słońcem.“ Zdanie to, wypowiedziane wprost i bez ogródek, bynajmniej nie obraziło Nietzschem, który podziękował ostremu swemu krytykowi za szczerość i zapewnił go, iż w pracy kompozytorskiej nie szukał innego celu nad chwilową rozrywkę.

Z muzyki.

W Wiedniu p. Mandyczewski, rodak nasz, profesor historii w konserwatorium miejscowym, urządza szereg koncertów historycznych. Wykonawcy składają się wyłącznie z uczniów konserwatorium. Utworzyli oni orkiestrę, która dała poznać słuchaczom szereg arcydzieł Bacha, Pergolesego Haendla i t. d.

W Rzymie odbyło się oryginalne przedstawienie. Teatr Adriano dał mianowicie operę „Conrada“, napisaną przez p. Marracino, wysokiego dygnitarza sądowego. Na wystawienie jej złożyło 60 adwokatów po 100 lirów w formie akcyi. Choć pierwszy razem, dzięki zapelnieniu sali teatralnej przez samych sędziów, wywoływało autora 22 razy, sztuka, wyszydzona przez krytykę, upadła.

Londyn. Zarząd międzynarodowego kolegium muzycznego ogłasza konkurs na kwartet fortepianowy z towarzyszeniem skrzypiec, altówki, wiolon-

czystwa, John Hodges (66 Roussel Square London W. C.).

Wl. K.

Karta pamiątkowa Akademii Jagiellońskiej.

Przyjętym dzisiaj obyczajem, uroczystość obchodu jubileuszowego uniwersytetu krakowskiego wywołała specjalne karty korespondencyjne. Reprodukuję jedną nich, odznaczającą się pięknym rysunkiem i wykonaniem, dajemy w numerze obecnym. Wyszła nakładem G. Szyllera w Warszawie.



Karta pamiątkowa Akademii Jagiellońskiej.

Z literatury muzycznej.

W księgarniach petersburskich ukazała się książka p. Timofiejewa p. t.: „Fryderyk Chopin.“ Jest to praca kompilacyjna, ale umiejętnie wykonana, a będąca na dobie, tem więcej, że w języku rosyjskim, zdaniem miej-

czeli i kontrabas. Nagroda 500 fr. Termin 18-y stycznia 1901 r. Adres: dr. York Trotten, dyrektor International College of music 22. Princes Street Cavendish square Londyn W.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Marya Weryho: „Nacia na pensyi.“ Wyjeżdżając ze wsi, dziewięcioletnia Nacia przyrzekła staremu ogrodnikowi, Maciejowi, że będzie zapisywała wszystko, czego nauczy się w ciągu roku na pensyi o roślinach. W tym celu prowadzi dzienniczek, wciągając do niego to, co jej się wydaje godnym zaznaczenia z życia roślin. Jednocześnie zapisuje swoje wrażenia. Jakież wrażenia może odbierać dziewięcioletnie dziewczętko w pensjonacie, gdzie chwile na pozór płyną jednostajnie, wśród jednakowych, codziennych powtarzających się zajęć naukowych, urozmaiconych jedynie przechadzkami po Nowym Świecie i Alejach Ujazdowskich? A jednak Nacia, dziewczynka bynajmniej nie należąca do rzędu dzieci cudownych, obdarzona zwyczajnymi zdolnościami, tylko serduszkim może nieco cieplejszym od swych rówieśniczek i pewną dozą zmysłu spostrzegawczego, pisze swój dziennik tak zajmująco, że zainteresowanie czytelnika ani na chwilę się nie zmniejsza—i kiedy dziewczę żegna się z nami, wracając na wieś na wakacje, szczerze żałujemy, że już musimy się z nim rozstać. Takie to miłe dziecko i tyle pięknych stron jej duszy odsłania nam jej dzienniczek! Pannie Weryhównie należy się prawdziwa wdzięczność od dziatwy za ten jej ostatni utwór. Trudno o szczęśliwsze połączenie pożytecznego z przyjemnym. „Nacia na pensyi“ jest jedną z tych bardzo rzadkich książek, które uczą, uszlachetniają i zarazem trzymają uwagę dziecka na uwieży przez cały tom. Najzwyczajniejsze zdarzenia z życia dziecięcego są tu opowiedziane z takim wdziękiem, a przytem z taką prostotą, szczerością i prawdą, że tylko przyklasnąć można autorce, która dowiodła, że bez moralizowania można stworzyć dziełko, dodatnio wpływające na podniesienie poziomu moralnego dzieci, i bez przeładowania książki balastem dydaktycznym wlać w młode główki znaczny zasób wiedzy. Co się tyczy artystycznej strony książeczki, o której mowa, to dość będzie powiedzieć, że całość jest utrzymana w granicach doskonałego umiaru, obrazy życia pensjonarskiego obfitują w mnóstwo szczegółów niezmiernie pociągających, a wiele ustępów książki poprostu chwytają za serce, wzruszając do łez. Psychologia dziewczynek wybornie podchwyciona, różnice usposobień młodziutek koleżanek Naci bardzo udatnie przedstawione, dwie powiastki, wplecione dla urozmaicenia dzienniczka, zajmujące, a legenda o tem, skąd powstała konwalia—to mała perełka poezji. Język, którym pisze Nacia swój dziennik, trafnie zastosowany do wieku uczennicy, przytem zupełnie wolny od usterek. Jeżeli dawniej polszczyzna panny W. pod względem czystości pozostawiała nieco do życzenia, tym razem czynić jej tego zarzutu nie można. „Nacia na pensyi“ jest napisana nie tylko z wielkim uczuciem, z wielkim opanowaniem techniki pisarskiej i umiejętnością trafienia do serc i umysłów dzieci, ale też i z poszanowaniem języka. To też praca ta cenionej autorki należy, zdaniem naszym, do najcenniejszych, jakie nasza literatura dziecięca posiada.

Wiktor Luboradzki.

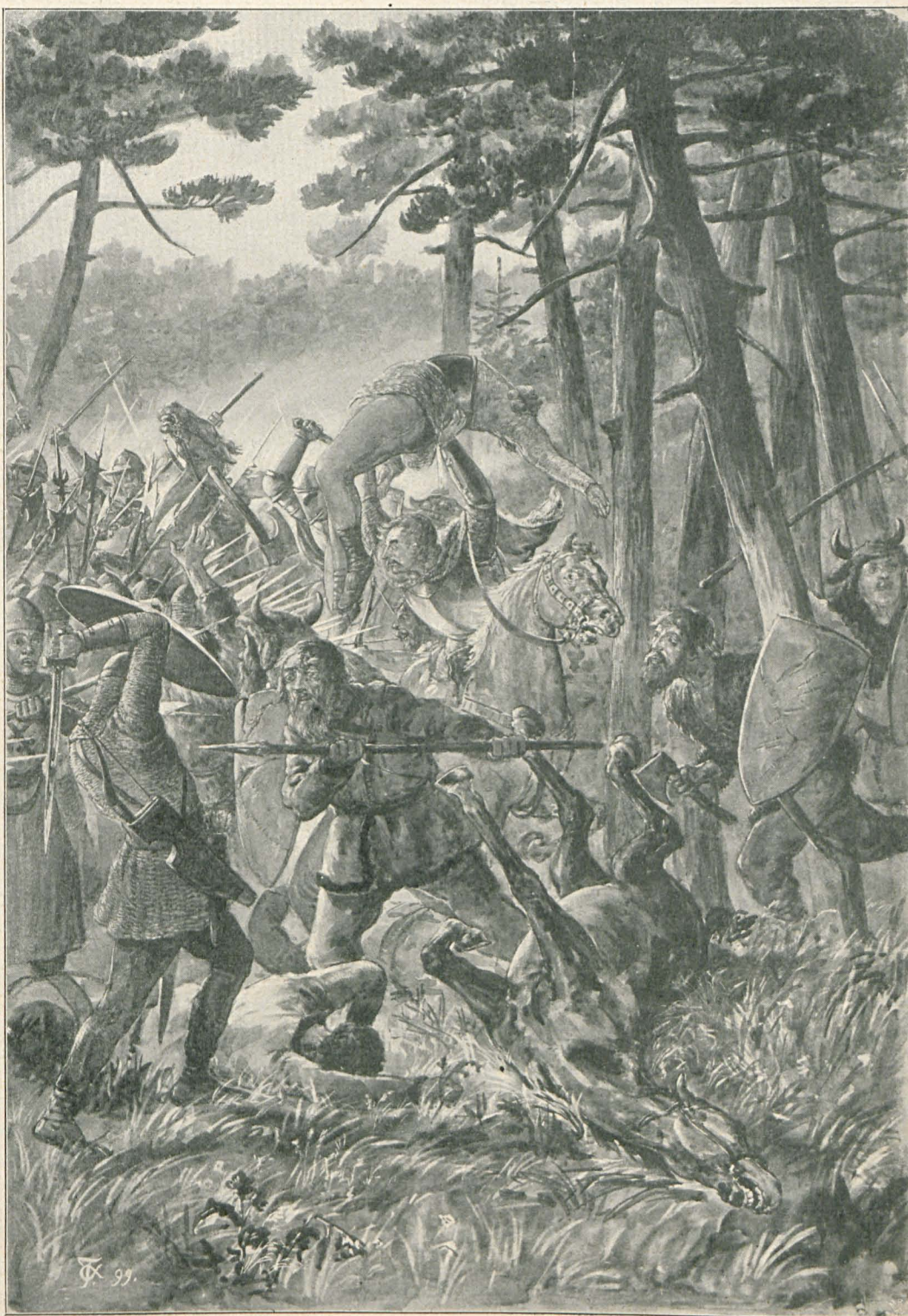
Pisanka. Książka zbiorowa pod redakcją Józefa Jankowskiego.—Jest to zbiór nowel, dramatów, poezji, oraz aforyzmów pióra młodszych i starszych literatów. Lwią część wydawnictwa zajmują poezye, pod którymi spotykamy nazwiska J. Balińskiego, G. Daniłowskiego, Felicjana, Glińskich (ojca i syna), J. Jankowskiego, W. Karolego, Komornickiej, Konopnickiej, Kozłowskiego, Langego, Łopuszańskiej, Nawrockiego, Neumanowej, Niemojewskiego, Nitowskiego, Nowińskiego, Or-oła,

Słońskiego, Selima, Pileckiego, Pomiana, M. Wolskiej, W. Wolskiego i wielu innych. Do większości prac dołączono podobizny autorów. Prócz tego wydawnictwo zdobią liczne rysunki, wśród których wyróżniają się modernistyczna nawskroś fantazyi Henryka Piątkowskiego, wyobrażająca dziewczę wśród lilii, typ wschodni Pawliszaka, oraz chłopka Masłowskiego. Całość wydania i odbicie bardzo staranne, na pięknym papierze, sprawia przyjemne wrażenie, zarówno pod względem zewnętrznym, jak i wewnętrznym.

Józefa Kamocka: Praktyczny wykład nauki języka polskiego, według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydanie 9-te poprawne. Gebethner i Wolff. 1900.—Sam takt dziewiątego wydania tego podręcznika zasłużonej nauczycielki świadczy o uznaniu, uzyskanem w sferach peda-

gogicznych. Poświęcona „pamięci Stanisława Jachowicza, a pożytkowi dzieci,“ książka ta zawiera całkowity wykład języka polskiego, a mianowicie jego głosownię, morfologię, składnię i pisownię, objaśnione przykładami ze wzorowych pisarzy.

Feliks Kucharzewski: Sur quelques niveaux du seizième siècle. Odbitka z „Bibliotheca Mathematica“ (Lipsk).—Mowa tu o przyrządach niwelacyjnych, nie wzmiankowanych w odpowiednich dziełach współczesnych, a mianowicie o opisanych w pracy Jana Dubraviusa „De piscinis“ (Wrocław, 1545) i Olbrychta Strumieńskiego „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów“ (Kraków, 1573). Przyrządy te podane są też w rysunkach. Nadmieniamy, iż p. F. Kucharzewski ogłosił w r. 1877 staranny przedruk całego dziełka O. Strumieńskiego o stawach w „Bibliotece pisarzy



WALKA ŻMUJDZINÓW Z KRZYŻAKAMI

ALEKSANDER hr. TYSZKIEWICZ

polskich,“ wydawanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

Jak napisać testament własnoręczny? Opracował adw. przys. Henryk Cederbaum. Warszawa, 1900.—Książka ta, objętością niewielką (160 stron druku), bardzo wszakże pracowita i pożyteczna, jako zapełniająca lukę w naszej literaturze prawniczej. „Co krok widzimy przykłady,—jak powiada autor—że ludzie skądinąd inteligentni pozostawiają po sobie testamenty, albo zupełnie niewykonalne, albo też zredagowane w sposób taki, że otwierają pole do sporów i procesów, nie zawsze kończących się tryumfem ostatniej woli spadkodawcy.“ Książka niniejsza ma zatem informować o prawach, jakie nam przy spisywaniu ostatniej woli przysługują, o obowiązkach, jakie na nas ciąży, oraz o formie, jaką testamentowi nadać należy. Autor pracy niniejszej, wyłożył w niej w sposób zwięzły i popularny główne zasady, jakimi przy spisywaniu testamentów kierować się należy, a w drugiej części dzieła podał wzory testamentów, ułatwiając tym sposobem każdemu spisanie ostatniej swej woli, bez uciekania się do porady prawnika. Książka p. Cederbauma, ze względu na swą wielką praktyczność, znajdzie niezawodnie szerokie rozpowszechnienie. w.

Natan Zylbersztajn z Wiślicy: „Hanele,“ nowelka. Warszawa, 1898, nakład autora. — „Nowelki, myśli ulotne i urywki.“ Warszawa, 1899.—Pod takimi tytułami wydał p. Zylbersztajn dwie książeczki. Charakter nowel przeważnie polemiczny, obliczony na cel uspołecznienia i uetycznienia prowincjonalnego życia. Treść zaczerpnął autor ze sfer finansowych, przemysłowych, zwłaszcza żydowskich. Niezwykłe oddanie się celowi moralnemu, może zbyt zacieśnionemu do jednej warstwy społecznej, uwidocznił się np. w takim aforyzmie: „Cudza własność jest święta, a swoich praw strzeż jak oka w głowie, a będziesz rozumną głową, przedstawicielem firmy, przewodnikiem rodziny etc.“ S.

Maksymilian i Stanisław Cerchowie: Pomniki Krakowa. Zeszyt trzeci tego interesującego wydawnictwa zawiera sporą wiązkę materiałów ilustracyjnych, cennych dla każdego, kogo sztuka polska obchodzi bliżej. Między innymi, w zeszycie tym zwraca uwagę widok kościoła Św. Idziego w Krakowie z przybudowanym zajazdem. Kościół ten rysował Maksymilian Cercha w r. 1853.

Album sztuki polskiej. Zeszyty 6 i 7.—Dwa świeże zeszyty „Albumu“ przynoszą nam ciąg dalszy wystawy retrospektywnej z r. 1898. Odbitki obrazów dokonane są starannie, tekst opracował, jak i w zeszytach poprzednich, Henryk Piątkowski.

Mieczysław Rościszewski: Figlarz salonowy.—Rzecz ta zawiera zbiór rozrywek kuglarsko-naukowych, doświadczeń bez przyrządów, zadań, łamigłówek, sztuk magicznych i najprzeróżniejszych figlów, służących do rozweselenia towarzystwa. Książka ma na celu dostarczyć obfitego materiału do zabaw salonowych dla młodzieży płci obojej. Tekst, opracowany starannie, zdobią liczne ilustracje.

Ks. Bronisław Maryański: Kazania przygodne.—Ks. Bronisław Maryański, w książeczce niniejszej pomieścił 12 kazań, napisanych językiem poprawnym i nadzwyczaj popularnie.

ODPOWIEDZI.



P. D. L. A. Można wysłać pod opaską. Przejdzie przez cenzurę.

P. Agata w A. Zakład Ś-go Kazimierza na Tamce.

P. St. Lecewicz. Do urzędów wojskowych.

P. W. M. T. Rocznie Nr 12, prenumerata kwartałna kop. 55.

Ja—ko. Nie.

Er. Bey. Bardzo słabe.

P. L. Ostrowski w Bresku. Fotografie interesujące, ale tak blade, że nie można z nich zrobić użytku.

Mieszkaniec Wieluński. Adresować: „Przegląd Pedagogiczny“ w Warszawie—to wystarczy. Adresem doktora nie możemy służyć. Sądząc, że zwróciwszy się do redakcji wspomnianego pisma, otrzyma Sz. Pan odpowiednie informacje.

Pi M. w Walent. Nie.

Rosa mistica. Nie.

P. M. W. B. w Łodzi. Idzie o to właśnie, że nie odpowiada w zupełności, tylko w części, i spodziewane są reformy, które mieliśmy na myśli.

P. Józef Ziet. List Szanownego Pana odesłałmy Komitetowi jubileuszowemu.

Prenumerat. Odesłane Komitetowi.

P. J. S. w Wilnie. Ulica Piękna za rogiem Marszałkowskiej.

P. Antoninie Popiel w Żardenówce. Adres: Erziehungsanstalt für Mädchen „Sacré-Coeur“, Rennweg, Wien III.



Od redakcji.



Każdy prenumerat „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Przy niniejszym numerze „Tygodnika“ dołącza się dla wszystkich prenumeratorów tom XX pism H. Sienkiewicza, zawierający: „Rodzinę Połanieckich“ (część szóstą).

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowania na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.



Kwartał I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

N A D E S Ł A N E.

WYDAWNICTWA

⇒ GEBETHNERA i WOLFFA

NOWE POWIEŚCI:

- AER. Złudzenia, Rub. 1.35.
 BAŁUCKI. Pamiętnik Munia, Rub. 1.20.
 GLIŃSKI. Krzywda, Rub. 1.50.
 — Wróci, Rub. 1.20.
 GRUSZECKI. Dla Miliona, Rub. 1.20.
 — Hutnik, kop. 80.
 — Krety, wyd. 2-gie, Rub. 1.50.
 — Tuzy, Rub. 1.20.
 JELEŃSKA. Paniąka, 2 t. Rub. 2.
 JESKE-CHOIŃSKI. Ostatni Rzymianin, 2 t. R. 2.40.
 KOSIAKIEWICZ. „Hallali“, Rub. 1.20.
 KRECHOWIECKI. Najmłodszy, 2 tomy, Rub. 2.
 ŁOZIŃSKI. Zaklęty dwór, 2 tomy, kop. 80.
 MARION. Miraże, Rub. 1.50.
 NIEMOJEWSKI. Listy człowieka szalonego, R. 1.50.
 ORKAN. Nowele, z przedm. Tetmajera, Rub. 1.
 ORSYD. Za późno, Rub. 1.20.
 ORZESKOWA. Argonauci, 2 tomy, Rub. 2.
 RADZIWIŁŁ MICHAŁ. Ojciec Remigi, kop. 60.
 REYMONT. Fermenty, 2 tomy, Rub. 2.
 — Komediantka, Rub. 1.50.
 — Lili, Rub. 1. W oprawie 1.40.
 — Spotkanie, Rub. 1.50.
 — Ziemia obiecana, 2 tomy, Rub. 2.40.
 RODZIEWICZ. Kądział, Rub. 1.20.
 ROJAN. Lepsze czasy, Rub. 1.20.
 SIEROSZEWSKI. Brzask, Rub. 1.40.
 — Latorośle, Rub. 1.20. W opr. 1.60.
 — Risztau, Rub. 1.20.
 STARZEŃSKI. Z gawęd starego myśliwca, R. 1.50.
 TETMAJER. Anioł śmierci, 2 tomy, Rub. 2.
 — Melancholia, Rub. 1. W opr. 1.40.
 — Otchłań, Rub. 1. W oprawie 1.40.
 WEYSSENHOF. Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego, wyd. 3, Rub. 1.50.
 ŻEROMSKI. Ludzie bezdomni, 2 t., wyd. 2-gie, R. 2.

Herman i Grossman



16 Mazowiecka 16

Skład Fortepianów, Pianin i Organów.

Wynajem.

Sprzedaż na raty.

Warszawa, Petersburg, Moskwa, Łódź, Lublin.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Ubrań Dziecinnych

w Magazynie „JANINY“

MARSZAŁKOWSKA Nr 151.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.



Nr 53. KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nr 53,

BIURO BANKOWE

„GAZETY LOSOWANE“

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów podług kursu. Przekazy na wszystkie miejscowości w kraju i za granicą. Zaliczenia na papiery publiczne. Konwersje w Towarzystwach Kredytowych: Ziemskim, m. Warszawy. Dyskonto i inkaso weksli. Rachunki bieżące i lokacje terminowe. Bezpłatne informacje ustne i piśmienne we wszystkich sprawach pieniężnych.



Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyjnej, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Доволено цензурою, Варшава, 7 Августа 1900 года.